

## Limanowa widziana z wieży odnowionej bazyliki



Fot. Karol Wojtas

**Odnowiona limanowska bazylika**  
- rozmowa z ks. dr.  
**Wiesławem Piotrowskim**

**Bukiet kwiatów**  
- wizyta Biskupa Andrzeja Jeża  
u szkolnej wychowawczynie

**Oddajemy szacunek**  
**przeszłym pokoleniom**

**Okruchy pamięci:**  
**Pani Dutkowa - Ciocia Helena**

**Pierwsze drukowane opisy**  
**i wizerunki limanowskiej Piety**

**Wincenty Gawron - limanowski**  
**artysta malarz za „Wielką Wodą”**

**Uchronić od zapomnienia**  
**- matura 1946 rok**





W odnowionej bryle limanowskiej bazyliki szczególną uwagę zwracają odrestaurowane kamienne rzeźby i płaskorzeźby na ścianie frontowej.

Fot. Stanisław Ociepka



BAZYLIKA  
MATKI BOSKIEJ  
BOLESNEJ



# Odnowiona limanowska bazylika

Stanisław Ociepka

W listopadzie ubiegłego roku zakończony został pierwszy etap remontu limanowskiej bazyliki. Ze względów technicznych były to jedne z trudniejszych prac konserwatorskich.

Ich trudność polegała na złożoności działań związanych z renowacją wieży, która wtopiona w bryłę kościoła zakończona hełmem o charakterze barokowym, dwukondygnacyjnym składającym się z trzech bań zwieńczona złotą kulą i krzyżem osadzonym na iglicy, wymagała montażu skomplikowanych rusztowań.

Koszt tego przedsięwzięcia był niemały, a każdy kolejny dzień prowadzonego remontu przy odnowieniu świątyni powiększał nakłady pieniężne.

Prace konserwatorskie kamienia na elewacji wieży były trudne, wykonywane na znacznych wysokościach, wymagały od prowadzących renowację posiadania dużych umiejętności. Jeszcze bardziej skomplikowane stały się prace blacharskie przy hełmie wieży. Pomyślne warunki atmosferyczne, jakie panowały w roku 2013, sprzyjały prowadzonym pracom.

Obecnie możemy oglądać rezultat prowadzonych od czerwca działań konserwatorskich.

W odnowionej bryle limanowskiej bazyliki szczególną uwagę zwracają odrestaurowane kamienne rzeźby i płaskorzeźby na ścianie frontowej. Są to: Grupa Ukrzyżowania w górnej części fasady, która została zabezpieczona efektywnym daszkiem pokrytym miedzianą blachą, płaskorzeźba Matki Boskiej Bolesnej w tympanonie oraz Orzeł Biały w koronie z datami Konstytucji 3 Maja. Dla wyrazistego podkreślenia rzeźb, niektóre z detali pokryte zostały złoconymi. Odrestaurowano także portal nad wejściem na wieżę. Konserwacji poddano także krzyże górzące nad tą częścią świątyni. Ich prace konserwatorskie były przeprowadzone w zakładzie Kazimierza Wojtasa, który również wykonał i zainstalował nowe wskazówki do wszystkich tarcz zegara na wieży bazyliki. Oddzielnym zagadnieniem był ponowny montaż krzyża zwieńczającego wieżę, o czym pisaliśmy w ostatnim numerze „Echa”.



Po demontażu rusztowań odsłonił się nowy obraz bazyliki od strony wschodniej ze ścianą frontową, portalem głównym i wieżą, które otrzymały odmienny estetyczny wyraz pozwalający cieszyć oczy zarówno parafian jak i pielgrzymów przybywających do limanowskiego sanktuarium. Tak więc przez najbliższe dziesiątki lat odnowiona bazylika służyć będzie naszym potomkom ku ich satysfakcji i zadowoleniu.

Kiedy prawie pół roku temu rozmawiałem z proboszczem parafii limanowskiej o rozpoczętym w czerwcu remoncie bazyliki, zatroskany o rezultaty prowadzonych prac, dzielił się informacjami z Czytelnikami „Echa” o podjętych wówczas zamierzeniach. Obecnie widoczne są rezultaty prac konserwacyjnych kościoła przewidziane na 2013 rok i o nich właśnie ponownie rozmawiam z ks. dr. Wiesławem Piotrowskim. ►

► - *Zakończył się pierwszy etap odnowienia limanowskiej bazyliki. Proszę Czytelnikom „Echa” przybliżyć, jaki zakres prac renowacyjnych został już wykonany oraz wyrazić własną opinię o jakości przeprowadzonej konserwacji.*

O pracach konserwatorskich związanych z wieżą i ścianą frontową kościoła obszernie mówiłem w wywiadzie („EL”, nr 228-229, wrzesień – październik 2013 r.) przeprowadzonym w lipcu, kiedy na dobre trwał już remont bazyliki. Zakres wówczas podjętych prac został na dzień dzisiejszy w pełni zrealizowany. Informują o tym także protokoły odbioru prac konserwatorskich dokonane przez komisję pod przewodnictwem Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Krakowie Delegatura w Nowym Sączu.

W jednym z nich m. in. napisano: *Prace związane z pokryciem hełmu wieży z niezbędnymi wymianami deskowania i elementów więźby, złączenia kuli pod wieżą i pinakla nad krzyżem, konserwacja i uzupełnienia witraży krzyża, naprawa i konserwacja tarcz i przeszkleń zegara wieżowego oraz prac konserwacji kamienia ścian i detalu wieży wraz z założonymi siatkami ochronnymi okien i hełmu wieży - zostały wykonane zgodnie z ustaleniami podejmowanymi przez komisje konserwatorskie oraz zgodnie z przyjętymi technologiami. Wykonane prace prezentują właściwą jakość i wypełniają zakres, ustalony w pozwoleniu i ustaleniu komisji.*

Bardzo ważnym etapem konserwacyjnym było zabezpieczenie kamienia przed wodą, która jest jednym z bardziej destrukcyjnych czynników wpływających na trwałość wszystkich kamiennych budowli. Dlatego całość elewacji, na której prowadzone były prace konserwatorskie, a także rzeźby i płaskorzeźby na ścianie frontowej, zostały w końcowej fazie remontu poddane hydrofobizacji (impregnacji) środkiem, który zapobiega wnikaniu wody w głąb struktury kamienia.

Ze względów estetycznych, bardzo ważnym było odnowienie kamiennych rzeźb i płaskorzeźb na przedniej ścianie kościoła. Projekt konserwatorski wykonał i nadzór nad realizacją odrestaurowania tych elementów kamiennego wystroju ściany frontowej świątyni miał Józef Stanisław Stec, artysta plastyk, konserwator dzieł sztuki. Konserwację zaś przeprowadziła firma ARKADIA z Wrocławia. Prace te nie były łatwe. Należało uzupełnić kamienne ubytki

i pokryć złoconiami te elementy, które kiedyś takie zdobienia posiadały. Zrobiono to na podstawie ekspertyz przez pobranie próbek z elementów kamiennych płaskorzeźb.

Efekty prac są dziś wyraźnie widoczne. Każdy sam może je ocenić. Ja, opierając się na opiniach konserwatorów zabytków, osób które mają doświadczenie, wyrażam radość, że prace te zostały profesjonalnie wykonane i znalazły uznanie pośród samych fachowców.

- *Wśród mieszkańców Limanowej duże zainteresowanie wywołały prace związane zarówno z demontażem jak i ponownym osadzeniem krzyża na wieży bazyliki. Ksiądz uczestniczył w tych pracach, pokazał nam to w reportażu fotograficznym w poprzednim „Echu”. Proszę podzielić się wrażeniami z udziału w tych czynnościach.*

Do uczestnictwa w pracach związanych z demontażem krzyża zwieńczającym wieżę limanowskiej świątyni zostałem zaproszony przez głównego wykonawcę. Kiedy już byłem na rusztowaniu w pobliżu krzyża, poproszono mnie o pomoc. Wówczas w cztery osoby przy pomocy lin spuściliśmy krzyż do windy. Natomiast przy demontażu kuli, która tradycyjnie pełni rolę „wehikułu czasu”, chciałem być osobiście, bowiem przypuszczałem, że budowniczy kościoła mógł zostawić dokumenty dla potomnych. Chwile te rozdziły napięcie. Kiedy po raz pierwszy pracownik włożył do kuli rękę, usłyszałem, że nic tam nie ma. Zaskoczony taką odpowiedzią poprosiłem, aby dokładnie jeszcze raz sprawdził. Po włożeniu głębiej dłoni okazało się, iż na bocznej ścianie kuli była przyklejona mała butelka. W butelce znajdowała się kartka, którą trudno było wyciągnąć, nie chcieliśmy zniszczyć samej butelki. Później okazało się, iż jest to dokument napisany piórem przez budowniczego kościoła ks. Kazimierza Łazarskiego. Treść była krótka, ale o bardzo głębokiej wymowie. Odczytałem parafianom słowa zapisane na kartce podczas kazań w niedzielę 8 września ubiegłego roku, a więc prawie po 100 latach od jej napisania.

Wyrażam wdzięczność Panu Bogu, pracującym ludziom za szczęśliwe wykonanie wszystkich prac, a także za wszelką pomoc i ofiarność.

25 listopada 2013 r., kiedy w naszej bazylice odbyła się peregrynacja obrazu Jezusa Miłosiernego oraz relikwii św. Faustyny i bł. Jana Pawła II, odprowadzona została dziękczynna Msza święta.

- *W kuli zwieńczającej wieżę limanowskiej świątyni ulokował ksiądz tubę „kapsułę czasu” z pamiątkowymi dokumentami. Co do niej zostało wstawione i jakie ksiądz przekazał wiadomości naszym potomkom?*

Do „kapsuły czasu”, metalowej tuby, została wstawiona kopia dokumentu ks. Kazimierza Łazarskiego – oryginał po konserwacji zostanie umieszczony w Parafialnym Muzeum i będzie udostępniony do obejrzenia zarówno dla parafian jak i pielgrzymów przybywających do limanowskiego sanktuarium. Włożone zostały także aktualne polskie monety oraz kwartalniki sanktuarium pw. Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej „Mater Dolorosa”. Napisane zostało (także piórem), przesłanie do przyszłych pokoleń. W jego treści m.in. zawarta została informacja o prowadzonych pracach konserwatorskich w limanowskiej świątyni. Pełny tekst tego przesłania zostanie przedstawiony w styczniowo – kwietniowym kwartalniku „Mater Dolorosa”.

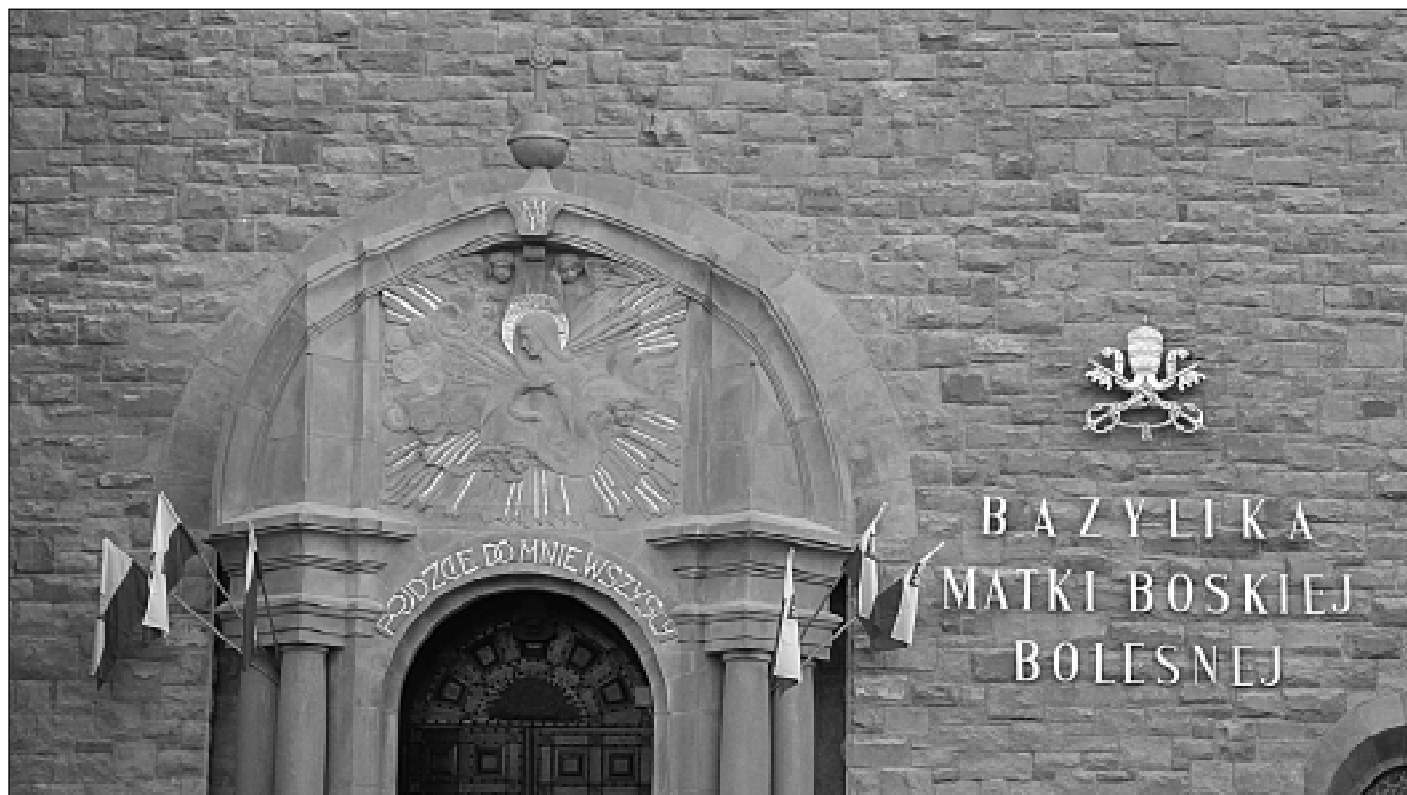
- *Jakie są dalsze plany remontu naszej bazyliki? Kiedy przystąpi się do zmiany pokrycia dachu? Czy podjęto już decyzję o wyborze producenta dachówki i jaki ostatecznie będzie jej rodzaj (obecnie dach pokryty jest dachówką mnich - mmiszka)?*

W roku 2014 planujemy wykonać konserwację kamienia na elewacji pozostałych ścian oraz przeprowadzić renowację sygnaturki, pokrywając ją w całości nową blachą miedzianą. Głównym zadaniem ma być całościowy remont dachu z wymianą dachówki. Obecnie na Politechnice Wrocławskiej prowadzone są badania związane z uzyskaniem takiej samej dachówki, chodzi tu o jej strukturę materiałową oraz ten sam kolor „ciemna wiśnia”. Do badań zostało pobranych wiele próbek z dachówek pokrywających dach limanowskiego kościoła. Czynności te prowadzone są na zlecenie, jakie określił konserwator, odnosząc się do remontu dachu kościoła.

Produkcji dachówki ma podjąć się firma z Dolnego Śląska. Jest w przygotowaniu piec do jej wypalania, a także są już robione pierwsze próby.

- *Mówi się także o pracach konserwatorskich wewnątrz bazyliki, podobno już został opracowany program z tym związany. Proszę powiedzieć, czego będzie on dotyczył.*





W zależności od uzyskania zewnętrznych dotacji podejmiemy również konserwację wewnątrz bazyliki. Takich czynności wymaga wiele elementów wystroju kościoła naruszonych przez „czas”. Projekt opracowany przez Stanisława Steca został złożony w celu pozyskania dotacji. Jeśli zostanie rozpatrzony pozytywnie, przystąpimy do odnowienia m. in.: malowideł na sklepieniu kościoła związanych z suplikacjami: Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie. Odnowiona zostanie również polichromia sklepień naw bocznych, kopuł kaplic, a także płaskorzeźb stacji drogi krzyżowej i rzeźb apostołów, które umieszczone są na tle pilastrów. Przeprowadzony będzie remont ambony oraz rzeźby Grupy Ukrzyżowania w Łuku Tęczowym. Odświeży się również kolumny pilastrów i ściany.

*- Czy tak szeroki zakres wykonywanych prac konserwacyjnych, jakiego podjął się ksiądz proboszcz przed rokiem wytrzyma finansowo.*

Prace restauratorskie w naszej bazylice podejmowane są dzięki dużej ofiarności wiernych oraz pielgrzymów przybywających do naszego sanktuarium. Część prac zostało sfinansowanych z dotacji uzyskanych z Urzędu Marszałkowskiego w Krakowie, Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków oraz z Urzędu Miasta Limanowa. Zostały opracowane i złożone wnioski o dotacje do Ministra Dziedzictwa Narodowego na dalsze prace, które są konieczne. W zależności od ich otrzymania, a także od dalszej ofiarności wiernych, zaplanowane prace będą kontynuowane.

*Dziękuję za rozmowę. W imieniu redakcji życzymy księdzu proboszczowi, aby udało się zrealizować wszystkie plany.*

**Stanisław Ociepka**

Rozmowa została przeprowadzona 29 listopada 2013 roku.

# Bukiet kwiatów

Zofia Szumilas

- wizyta Biskupa Tarnowskiego, Andrzeja Jeża, u szkolnej wychowawczynie



Zofia Szumilas, emerytowana nauczycielka limanowskiej „Jedynki”, wychowawczynie Andrzeja Jeża.

Ubiegły 2013 rok dla biskupa Andrzeja Jeża był rokiem jubileuszy. 3 maja ukończył 50 lat, 12 czerwca przeżywał 25-lecie święceń kapłańskich, a 19 czerwca minęła 25-ta rocznica odprawienia Mszy prymicyjnej w limanowskim kościele.

Z tej okazji redakcja „Echa Limanowskiego” zwróciła się z prośbą do p. Zofii Szumilas, wychowawczynie Andrzeja w szkole podstawowej, o podzielenie się wspomnieniami z tego okresu.

Jak głębokie emocjonalne związki istnieją po dzień dzisiejszy pomiędzy wychowawczynią a wychowankiem, można przekonać się, czytając te wspomnienia.

*Zofia Szumilas* dziś emerytowana nauczycielka w okolicznościowym biuletynie wydanym przez Zespół Szkół Samorządowych nr 1 w Limanowej z okazji objęcia urzędu Biskupa Tarnowskiego, tak wspomina swoją pracę pedagogiczną: *Cieszyłam się zawsze, osiągnięciami i sukcesami swoich uczniów (gdy byli w szkole), tak zdolnych, jak i tych, którzy mieli kłopoty w nauce lub ja miałam z nimi kłopoty wychowawcze. Smuciły mnie i smucą ich zmartwienia i niepowodzenia.*

*Jest w moim sercu szczególne miejsce, w którym umieściłam na zawsze pamięć o każdym ze swoich uczniów na przestrzeni 38 lat swojej pracy nauczycielskiej. Niektórzy z nich zostawili w tym „serdecznym miej-*

*scu” niezatarte wspomnienia, do których z przyjemnością powracam. Jeśli dołożyłam małą cegielkę do ukształtowania ich osobowości, uważam, że mój trud i rola jako nauczycielki i wychowawcy opłacił się.*

W tym samym biuletynie znajduje się przedruk fragmentu internetowego wywiadu z *ks. bp. Andrzejem Jeżem*, z okazji Dnia Nauczyciela w 2011 r., w którym wypowiada się bardzo ciepło o swoich nauczycielach: *Dopiero po latach człowiek zdaje sobie sprawę, jaki ogromny wpływ na nasze życie mają nauczyciele. Szczególnie ci zajmujący się naszą wczesną edukacją. Oni nie tylko przekazują nam wiedzę, ale – co ważne – wychowują nas. Bardzo miło wspominałam panią Cecylię Bie-*



Biskup Andrzej Jeż na limanowskim rynku.

*droń, która zajmowała się nauczaniem początkowym. Odegrała szczególną rolę w moim życiu. Patrząc na nią, dało się zauważyć, że była trochę jak matka. Starala się nam pokazać to, co w życiu jest najważniejsze. Otworzyła nam oczy na świat – nauczyła czytać i pisać. Dzięki temu mieliśmy szansę więcej się dowiedzieć i zrozumieć. W następnych latach szkoły podstawowej spotkałem kolejną wspaniałą osobę. Pani Zofia Szumilas była moją wychowawczynią. Uczyła polskiego. Niesamowicie zwracała uwagę na przekaz wiedzy, starała się wpoić nam system wartości ogólnoludzkich. Pokazywała nam, jak ważne są wartości chrześcijańskie. Zapamiętałam ją jako osobę bardzo spostrzegawczą. Potrafiła uchwycić w każdym z nas indywidualne zainteresowania i zdolności. Pozwalała nam, a nawet zachęcała do rozwoju naszych talentów. To było o tyle niesamowite, że nasza klasa była liczną grupą, składającą się z bardzo różnych charakterów.*



*Bardzo cenię sobie to, że nigdy nie odczuwałem presji i przymusu w działaniu moich nauczycieli. Byli bardzo dobrymi pedagogami. Potrafili współpracować z uczniem i poświęcać mu dużo czasu, także poza zajęciami szkolnymi. Cała sztuka polegała na tym, że bez nacisku, konsekwentnie osiągalni swoje cele edukacyjne.*

Z tekstów tych można odczytać, jakie istnieją relacje między wychowawczynią i wychowankami klasy, do której uczęszczał Andrzej Jeż, a także między samymi kolegami. Kontakty trwają od lat, aż po dzień dzisiejszy. Ich materialnym dowodem są pamiątki oraz korespondencja zgromadzona w pamiątkowym albumie przez wychowawczynię. W albumie tym można również odnaleźć wspomnienie Zofii Szumilas z racji wizyty, jaką złożył Jeż 24 czerwca 2012 r. Andrzej Jeż, uczeń – dziś Biskup Tarnowski. Był to zapewne gest szacunku i „splacenie” długu wdzięczności sprzed lat. Wizyta ta odbyła się przy sposobności limanowskich uroczystości związanych z Mszą prymicyjną, jaką Biskup Tarnowski odprawił w tym dniu w swojej rodzinnej parafii Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej.

Poniżej prezentujemy ten tekst.

\*\*\*

Andrzej odwiedził mnie wcześniej (1995 r.), gdy był już księdzem. Wtedy też radość była wielka, ale bardziej zwyczajna – jak każde odwiedziny mojego ucznia, do czego się przyzwyczaiłam i bardzo miło wspominałam. Zawsze było wesoło, gdy Wojtek, Jola, Andrzej, Basia, Ela, Anka, Janusz, Marek itp. znaleźli tyle czasu, aby sprawić emerytowanej – swojej nauczycielce radość odwiedzin.

Tym razem najmniej się spodziewałam Jego wizyty. Jest bowiem bardzo zapracowany, obarczony niezmiernie odpowiedzialnymi obowiązkami jako biskup diecezjalny. Nie zapomniał jednak o swojej wychowawczyni.

Zdradził swój zamiar Paniom dyrektorkom mojej ukochanej – tak – podkreślam – ukochanej „Jedynki”. A One, oczywiście, nie utrzymały tego w tajemnicy. Tak powinno być. I dobrze. Dlaczego? – ktoś zapyta. Bo moja apteka w reklamówkach, znajdująca się pod stołem i na stole, musiała zniknąć, aby mój Dostojny Biskup Ordynariusz Andrzej na niczym się nie potknął. Telefon komórkowy sprawił, że

prawie błyskawicznie pojawili się uczniowie z „mojej szkółki” i doprowadzili nasze mieszkanie do możliwego wyglądu.

Około godziny 15<sup>45</sup> w szeroko otwartych drzwiach pojawiła się postać wysokiego kapłana z zapytaniem, czy tu mieszka p. Zofia Szumilas i czy może nas odwiedzić ks. bp Andrzej Jeż.

Też pytanie!

Na widok Biskupa Andrzeja w pięknej sutannie i nakryciu głowy tegoż samego koloru, serce dużo mocniej mi zadręgało. Moimi gratulacjami dla Niego był tylko mocny serdeczny uścisk, z którego trudno mu się było uwolnić.

Gdy poprosiłam Go o pozwolenie ucałowania relikwii św. w Jego pierścieniu, byłam już pewna, że to mój Andrzej z historycznej już VIII b, stoi przede mną jako Biskup Tarnowski. Poważny, ale także uśmiechnięty, uwolniwszy się z moich objęć, nie zdziwił się stertą różnych książek, zeszytów i teczek biurowych leżących na szafie w zasięgu mojej ręki. Wyglądało to wszystko jak rupiecie. Tego dzieci nie usuwały, bo było to prawie niemożliwe. A potem wręczył mi wspaniałą bukiet kwiatów – cudnych kwiatów, jak to bywało dawniej w szkole. Dawniej były to kwiaty z ogródka Jego Mamy, która go pięknie prowadziła. Niejeden raz dostawałam od Niej fłancę, czyli rozsądę szpileczkowatych astrów lub innych kwiatów. Przechodziłam bowiem często koło domu Andrzeja w drodze na cmentarz, na grób mego Taty, więc miałam okazję „porajcować” sobie z Panią Jeżową o tym i owym.

Gdy znaleźliśmy się wszyscy czworo: Biskup Andrzej, Jego towarzyszący Mu Prałat oraz ja z Gosią w moim tzw. „kuźnianym pokoju” (przerobionym z tutowej kuźni), rozmowa toczyła się przede wszystkim w oparciu o wspomnienia ze szkoły podstawowej i trochę średniej. Andrzej wspominał, że Jego wychowawczynią w I Liceum była p. Irena Trystulowa – nieżyjąca już.

Właśnie wtedy miałam okazję wyjaśnić Mu, dlaczego jeden z Jego kolegów z VIII b musiał zajmować miejsce w zasięgu mojej ręki. Nie poprosiłam jednak mojego Biskupa o rozgrzeszenie za to, że wyrabiać charakter tego „ikska” byłam zmuszona właśnie za pomocą ciężkiej ręki, także przez potrząsanie jego czupryną. Z zadowoleniem, podobnie jak i ja, przyjął wiadomość przekazaną przez p. Klemensa Wasilewskiego, że nasz wspólny znajomy wyrósł jednak na człowieka. Właśnie przez p. Klemensa, z którym się spotkał przypadkowo w Austrii, przesłał mi podziękowania za pracę nad jego wychowaniem.

To, że ja lubię gromadzić pamiątki otrzymane od swoich uczniów – to już moje nauczycielskie hobby. Pokazałam memu Biskupowi Andrzejowi prace z zapalek, modele mojego domu, kaplicy z Mordarki u lipy i inne tego typu pamiątki подарowane mi przez Wojtka Peciaka – prawie artystę, który co roku po ukończeniu kl. VIII przywoził mi na imieniny takie mniejsze lub większe „cuda” z zapalek.

Właśnie ten sam Wojtek z VIII b nagrywał na taśmę co niedzielę Mszę św. ►



Klasa Andrzeja Jeża - rok szkolny 1976/77. Andrzej Jeż siedzi w ostatnim rzędzie drugi od prawej.

prymarię odprawianą przez ks. kan. Jana Rachwałę i przyjeżdżał do nas na rowerku, aby mojej Mamie uświęcić trochę niedzielę tym nagraniem. Czynił to systematycznie, aż w I programie Polskiego Radia pojawiła się transmisja Mszy świętej.

Dowiedział się też mój Biskup Andrzej w czasie tej wizyty, że to właśnie Wojtek swoimi pięknymi listami z pobytu w szpitalu spowodował, że pierwszą „zdrowaśkę” odmawiam co dzień w intencji moich uczniów, o co również poprosił mnie Andrzej. Nie musiał, bo ja sobie dzięki Wojtkowi dawno już narzuciłam ten obowiązek.

Mieliśmy na tyle czasu, abym ja wspomniawszy swoich nauczycieli, Gosia swoich, m. in. p. Joachima Jońca, dzięki któremu Gosia pokochała matematykę. Pobiadolił nad chorym Joachimem (wylew).

Ja i mój Biskup Andrzej mieliśmy wspólnego katechetę. Był nim ks. kan. Jan Rachwał, który pracował do 81 roku życia. Opowiedziałam Andrzejowi, że zdaniem ks. Jana od dzieci promieniuje siła i zdrowie. Dlatego sam czuł się tak dobrze. Nawet mi doradził, żebym miała kontakt z dziećmi. Opowiedziałam ks. Biskupowi Andrzejowi – pochwaliłam się, że mam swoją szkołkę od wielu, wielu lat. Wypuściłam z niej już ok. 100 absolwentów. Uczę dzieci z przyjemnością, choć mam prawie 80 lat.

Zapytany przeze mnie mój Biskup o zdrowie swej Mamy, z wielką troską opowiedział o bardzo poważnej operacji Jej serca. Wykonany zabieg operacyjny pozwolił jej wziąć udział w uroczystości Jego Ingresu do Katedry w Tarnowie, czym się bardzo ucieszył. Pochwalił się także, że Jego siostrzenica Monika dochowała się synka.

O naszej chorobie – Gosi i mojej – prawie nie rozmawialiśmy, bo po co i nie było kiedy. Jedynie poinformowałam Go, że Gosia choruje 30 lat na SM, a ja walczę z naszym wspólnym wrogiem 24 lata.

Za mało było czasu (może 45 minut), aby porozmawiać szerzej o różnych sprawach. Wystarczyło go jednak tyle, aby opowiedzieć Andrzejowi o moim egzaminie z leksykologii, na którym prof. Jodłowski wyjaśnił mi pojęcie wizyty i wizytacji. Te odwiedziny Biskupa Andrzeja nazwałam wizytą biskupa. Wiem też, że czeka Go wiele obowiązkowych wizytacji biskupich.



Grupa lektorów przed arkadami strony północnej kościoła. Pośród chłopców stoją w górnym rzędzie od lewej: ks. Stanisław Budzik – wikariusz, obecnie biskup, ks. bp Piotr Bednarczyk, ks. Ludwik Kowalski – proboszcz parafii limanowskiej, księży wikariusze: Marian Tyrka i poniżej Józef Poręba. W grupie chłopców w drugim rzędzie, drugi od lewej stoi Andrzej Jeż, obecny biskup pomocniczy w Tarnowie - lata siedemdziesiąte XX wieku.

Ponieważ kolor jego sutanny był zbliżony do koloru mojego uroczystego stroju, w którym go przyjąłem, doszliśmy do przekonania, że mamy prawie jednakowe upodobania. Ale mój strój miał barwę bordową. Jego zaś sutanna i piuska była koloru nie bordowego, nie buraczkowego, lecz po prostu biskupiego. Ubawiliśmy się wyjaśnianiem nazwy koloru biskupiego. To także banalne, ale wesołe. Przecież nie każdy temat podejmowany w czasie rozmowy musiał być poważny.

Ksiądz Biskup prawie nie odpoczął po uroczystym „mini – ingresie parafialnym” (trwał on ok. 3 godzin). Powiedział nawet, że nie będzie mógł wstąpić do Mamy. Udzielił nam błogosławieństwa. W tym momencie łzy pojawiły się w moich oczach. Wierzę także, że Bóg przez Jego ręce wyciągnięte nad nami zesłał nam te łaski, które nam dodadzą sił trwania w naszej chorobie. Nie znajduję słów na określenie mej radości z wizyty i błogosławieństwa przez mego ucznia – Biskupa Andrzeja.

Obrazki, jakimi nas obdarował, będą znowu następną pamiątką, którą zachowam, póki żyć będę. Pożegnanie było równie miłe jak powitanie. Wielka szkoda, że nikt nas nie sfotografował.

Nie mam pamiątkowego z Nim zdjęcia, ale w tym „serdecznym miejscu” mego serca pozostała wspólna fotografia na zawsze.

Za może 15 minut po Jego odjeździe przyjechały panie dyrektorki z „Jedyńki” razem z Januszem Kadziolką, który utrwał na kliszy bukiet kwiatów od naszego Biskupa. Wtedy dowiedziałam się, jak wyglądała uroczystość związana z Mszą prymicyjną w bazylice Jego rodzinnej parafii. Poczułam się znowu nauczycielką „Jedyńki” po 22 latach pobytu na emeryturze.

To był dopiero dzień!

Ostatnią wizytę w tym dniu złożył mi Marian Mamak z żoną i córką (absolwent historycznej już VIII b). Przyniósł mi płytkę DVD z różnymi zdjęciami Biskupa Andrzeja i rodziny Mariana. Jak tu nie cieszyć się z tych wszystkich odwiedzin?

Zamknę swoje wspomnienia cytatem. *Cieszymy się tym wszystkim, póki żyjemy.*

Trzeba się cieszyć,  
bo (...) *malutko, a...*

**Fotografie: arch. Zofii Szumilas, albumu „Okruchy pamięci”**



# Ad memoriam

## Śp. Stanisław Rakoczy

**Rankiem 7 grudnia 2013 r. w swym domu, w Starej Wsi k. Limanowej, po ciężkiej chorobie, zmarł Stanisław Rakoczy. Notariusz, działacz społeczno – polityczny, w latach 1991–1993 poseł na Sejm RP.**

Na co dzień skromny, żyjący jakby na uboczu, żywo jednak interesujący się problemami miasta, regionu i służący w miarę sił społeczności i potrzebującym.

Urodził się 3 września 1948 r. w Mordarce, tam też ukończył szkołę podstawową. Po zdaniu matury w 1967 r., w I Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Orkana w Limanowej podjął studia prawnicze na wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, które ukończył w 1976 roku.

Po studiach bezskutecznie starał się o przyjęcie na aplikację sądową i prokuratorską. Z braku pracy pracował fizycznie na budowie. Później pracował jako radca prawny w Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Nowym Sączu, a następnie w Handlowej Spółdzielni Pracy w Limanowej. Od 1993 r. aż do śmierci prowadził własną Kancelarię Notarialną mieszczącą się przy ulicy Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej.

Działalność polityczną rozpoczął w 1980 roku, organizując struktury NSZZ „Solidarność”. W stanie wojennym uczestniczył w różnych formach pomocy charytatywnej dla potrzebujących. Od 1990 r. działał w Zjednoczeniu Chrześcijańsko - Narodowym jako prezes Koła w Limanowej. W 1991 r. z ramienia Akcji Katolickiej wybrany został na posła. W dwuletniej, I kadencji sejmowej pracował jako wiceprzewodniczący Komisji Regulaminowej i Spraw Poselskich, wiceprzewodniczący Komisji ds. Nowelizacji Prawa Spółdzielczego, członek Komisji Przekształceń Własnościowych i czł. Komisji Konstytucyjnej. Powołany został do Krajowej Rady Sądowniczej. Od 1994 do 1998 był prezesem Regionu Sądecko – Podhalańskiego ZChN.

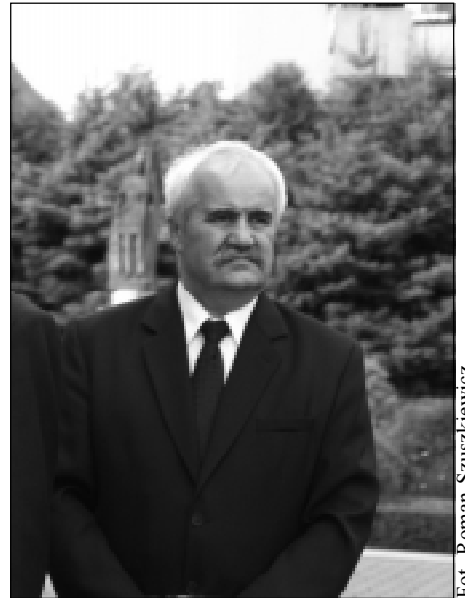
Całe swe życie związał z dobrowolną służbą kościołowi. Od lat szkolnych był ministrantem, a później lektorem w limanowskiej Bazylice Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej.

Po raz ostatni w tej funkcji widziałem go na Golcowie, gdzie już jako poseł służył do Mszy św., odprawianej przez ks. prałata Józefa Porębę z okazji poświęcenia kapliczki przewodnickiej. Stanisław był bowiem również aktywnym przewodnikiem beskidzkim – członkiem Koła Przewodników PTTK w Limanowej. W swej późniejszej parafii pełnił funkcję szafarza Komunii Świętej. Już w czasie studiów włączał się w pracę charytatywną, pracując jako wolontariusz w Duszpasterstwie Akademickim przy kościele św. Anny w Krakowie. Później pomagał potrzebującym w okresie stanu wojennego. W ostatnich latach włączył się w akcję pomocy charytatywnej dla Ukrainy. Swoją ojcowiznę w Mordarce zapisał na uposażenie budującego się tam kościoła i uposażenie powstającej parafii.

Śp. Stanisław Rakoczy był człowiekiem bardzo związanym z miastem Limanowa, jego przeszłością i bieżącymi sprawami. Był czynnie zaangażowany w czasie wielkich obchodów 200-lecia Konstytucji 3 – Maja, promujących limanowski kościół jako pomnik tego wiekopomnego wydarzenia.

Pomimo ciężkiej choroby włączył się w akcję przywrócenia „Pomnika Nieznanego Żołnierza” na jego historyczne miejsce. Pragnął, aby stanął w tym miejscu jako wyraz szacunku dla tradycji. Działal z wielkim poświęceniem w pracach grupy, udzielając także swojej kancelarii na miejsce spotkań. Aktywnie uczestniczył we wszystkich ważnych uroczystościach patriotycznych, kościelnych, miejskich i regionalnych.

Długa, nieuleczalna i wyczerpująca organizm choroba zrobiła swoje. Śp. Stanisław odszedł, opuszczając wzniesiony przez siebie dom, pozostawiając w bólu żonę Ewę, osierocając dwie córki – Annę i Małgorzatę.



Fot. Roman Szuszkiewicz

**1948-2013**

Msza św. pogrzebowa odprawiona została 9 grudnia 2013 r. w kościele pw. św. Józefa w Starej Wsi. Przewodniczył jej ks. Marian Tyrka proboszcz tej parafii w koncelebrze 13 kapłanów.

Śp. Stanisława żegnała rodzina, tłumy przyjaciół i znajomych, wśród których byli koledzy z ławy szkolnej i studiów. Kazanie wygłosił ks. prałat Karol Dziubaczka, który mówił o Jego drodze życiowej głęboko związanej z wartościami chrześcijańsko – katolickimi.

Żegnali Go Marek Jurek, Marszałek Sejmu RP V kadencji, Wiesław Janczyk, - poseł RP z Ziemi Limanowskiej, ks. Antoni Augustyn, klasowy kolega z Liceum, adwokat Zbigniew Cichoń, senator RP VII kadencji – przyjaciel ze studiów prawniczych, a także ks. Marian Tyrka, proboszcz parafii w Starej Wsi, ks. Zbigniew Stabrawa, proboszcz parafii w Mordarce i ks. Stanisław Wojcieszak.

Trumna z doczesnymi szczątkami śp. Stanisława Rakoczego spoczęła obok grobu matki na limanowskim Cmentarzu Parafialnym w pobliżu wojskowej kwatery.

**Jan Wielek,  
Stanisław Ociepka**

*Umarłych wieczność dotąd trwa,  
Dokąd pamięcią im się płaci.*  
Wisława Szymborska

## Zmarł Stanisław Rakoczy

Notariusz, Poseł I kadencji na Sejm RP.

Niestrudzony orędownik wartości chrześcijańskich.

Człowiek wyjątkowo pracowity i skromny, życzliwy ludziom, przez całe życie niosący im pomoc.

Zanim przeszedł do wieczności, mimo ciężkiej choroby w ostatnich dniach był jeszcze obecny między nami.

7 grudnia 2013r. rozpoczął pielgrzymkę, która nie ma końca.

**Staszku, za postawę i zaangażowanie w sprawy społeczne Limanowej**

**dziękują Ci koledzy**

z grupy inicjatywnej działającej na rzecz powrotu pomnika „Niezanego Żołnierza” na jego historyczne miejsce:

*Jerzy Bogacz, Stanisław Ociepka, ks. Stanisław Wojcieszak, Józef Szymon Wroński.*

*Niewiastę dzielną któż znajdzie? Jej wartość przewyższa perły. O len się stara i wełnę, starannie pracuje rękami. Wstaje, gdy jeszcze noc i żywność rozdziela domowi. Jej lampa wśród nocy nie gaśnie. Otwiera dłoń ubogiemu, do nędzarza wyciąga ręce. Sporządza okrycia. Siła i godność jej strojem. Otwiera usta z mądrością, na języku jej miłe pouczenia.*

(Por. Prz. 31, 10 – 31)

# Okруchy pamięci Pani Dutkowa - Ciocia Helena

Słowa z Pisma Świętego, z Księgi Przysłów, można bez przesady odnieść do śp. Heleny Dutki. Można też do Niej odnieść słowa bł. Jana Pawła II, który mówił o **geniuszu kobiety**. Kobieta jako matka, siostra i córka wnosi w dom rodzinny i życie społeczne bogactwo wrażliwości, intuicji, ofiarności i stałości (List do kobiet – 1995 r.).

W czym przejawia się wielkość i kobiecy geniusz śp. Heleny Dutki?

## **Droga życia**

Helena Dutka urodziła się 18 stycznia 1924 r. w Starej Wsi. Rodzicami jej byli Józef Garczyński i Maria z domu Papięż. Była najstarsza z sześciorga dzieci, którymi poza nią byli: Michalina, Wacława, Roman, Józefa, Marian. Wkrótce po urodzeniu Heleny rodzina przeniosła się

do Mordarki w pobliże dworu. Ojciec pracował w rafinerii nafty w Sowlinach, a matka zajmowała się domem. Ponieważ w rafinerii, którą zbudowali Francuzi, była łaźnia, matka zabierała tam do kąpieli dzieci, które piechotą pokonywały 7 km, aby skorzystać z łaźni.



**Helena Dutka (1924-2013)**

W domu nie było próżnowania, gdyż trzeba było się zająć niedużym skrawkiem ziemi i obejściem. Do szkoły chodziło się przeważnie boso. W klasach uczyły się razem dzieci polskie i żydowskie. W domu natomiast nie było prądu. Dlatego uczenie odbywało się przy lampie naftowej.



Z powodu choroby matki i jej pobytu w szpitalu w Nowym Sączu, Helena musiała przerwać naukę w klasie VII i zapiekirować się najmłodszą siostrą. Przeniosła się wtedy do szkoły zawodowej – wieczorowej tzw. „Przemysłówki”. Uczyla się w Młynem sztuki szycia. Po trzech latach praktyki zdobywało się czeladnika, a po kolejnych trzech był status mistrza. Wykonywanie zawodu musiała łączyć z codziennymi pracami w domu i gospodarstwie. W niektórych bowiem domach była wtedy wielka bieda, a chleb był wydzielany. Wiele kobiet zmuszonych było zatrudnić się u Żydów do obszywania ręcznego guzików. Dużo więcej ludzi zatrudnionych było we dworze. Pracowało się tu od 7 rano do 7 wieczór z godzinną przerwą na posiłek, który trzeba było sobie przynieść. Pracowali zarówno starsi, którzy dostawali za dzień pracy 1 złoty, a nawet dzieci od 12 roku życia. Te otrzymywały za dzień 60 groszy. Za zarobione pieniądze można było kupić najbardziej potrzebne produkty, takie jak: naftę, mydło, sacharynę. Trudów tej ciężkiej pracy doświadczyła także jako dziecko Helena. Choć u niej w domu było trochę lepiej jak w innych rodzinach.

W 1941 roku wyszła za mąż za Franciszka Dutkę. Miała wtedy 17 lat, a Franciszek 32.

Urodził się on w 1909 r. Jego ojciec Jan, po powrocie z Kanady założył w domu rodzinnym zakład kuśnierski. Dom ten znajdował się na „Kamieńcu” przy ul. Rzecznej (później Jana Kilińskiego). W okresie międzywojennym Franciszek angażował się w działalność społeczną i patriotyczną. W 1939 r. został zmobilizowany do wojska. W czasie jednej z walk z okupantem sowieckim dostał się do niewoli rosyjskiej, ale udało mu się uciec i powrócić do Limanowej. Po powrocie pracował jako ślusarz w rafinerii nafty w Sowlinach oraz angażował się w działalność konspiracyjną.

Po ślubie młode małżeństwo Heleny i Franciszka Dutków zamieszkało w jego rodzinnym domu na „Kamieńcu”. Drugą część domu zajmowali krewni: Józef Bednarz, prof. matematyki w szkołach średnich utworzonych po II wojnie w Limanowej oraz jego siostry Maria i Zofia, a także Serugowie. Wojna i następne lata przyniosły rodzinie Dutków wiele tragicznych doświadczeń. Opisała je sama Pani Helena we *Wspomnieniach dawnych czasów* (rok 2000, maszynopis). Z kawałka ziemi, który posiadali Dutkowie musieli oddawać kontyngent – zboże, ziemniaki i określoną

ilość mięsa. Po oddaniu tego, niewiele pozostawało dla rodziny.

W 1944 r. urodził się im syn Maciej. Z powodu braku żywności zatroskana matka zmuszona była do karmienia go niekiedy mąką rozpuszczaną w wodzie.

Najtragiczniejsze jednak z czasów wojny co zapamiętała Helena, to łapanie, bicie i rozstrzelanie ludzi. Na przymusowe roboty do Niemiec wywieziono jej ojca Jana i brata Romana. Odzyskanie niepodległości to dalszy ciąg życiowych udręk Heleny.

W przywołanych już *Wspomnieniach dawnych czasów* tak o tym pisze: *Nareszcie wyzwolenie, na które wszyscy czekali. Pierwsza noc – pożar budynków w rynku i we dworze. Siedzieliśmy całą noc na poddaszu z tobołami. Następne dni ukrywałam się w piwnicy. Potem kwatery w domach dla żołnierzy armii czerwonej – to też nie było wesołe. Budzili nas o czwartej rano i kazali sobie gotować śniadanie. Straszliwi rozstrzelaniem, gdyż dowiedzieli się, że mój mąż z kolegą pogrzebali na cmentarzu dwóch żołnierzy niemieckich, którzy leżeli zabici na tzw. Targowicy. Dalej ciężkie czasy i aresztowania. Kuzynka więziona była za okupacji. Po wyzwoleniu aresztowała ją NKWD. Wywieźli ją do więzienia w Nowym Sączu, a potem na Syberię. Widziałam nieco tego „wyzwolenia”.*

Lata powojenne to czasy wielkiej trwogi. Mąż Heleny, Franciszek, angażuje się w ruch oporu „Wolność i Niezawisłość” (WiN). Ruch ten zajmował się obroną niepodległości Polski. Od początku organizacja ta stanowiła dla nowych władz przeszkodę w realizacji planów politycznych ZSRR wobec Polski.

Prześadowani i męczeni skazywani byli na wieloletnie więzienia. W Limanowej dokonywano tego okrutnego proceduru w budynku, w którym miał siedzibę Urząd Bezpieczeństwa. Mieścił się on przy dawnej ulicy Piłsudskiego, następnie kolejno Daszyńskiego, Stalina, Orkana, a obecnie Matki Boskiej Bolesnej. Wśród 50 osób tu aresztowanych i osadzonych byli m. in. Franciszek Dutka oraz Tadeusz Kucharczyk, sekretarz Sądu Grodzkiego w Limanowej. Aresztowani, zostali osadzeni w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Ten okres w swoim życiu tak opisuje Helena we *Wspomnieniach*: *Kiedy w październiku 1946 roku Franciszek został skazany na 5 lat pozbawienia wolności i uwięziony w Krakowie, chciałam go tam odwiedzić. Mimo mroźnej zimy po-*

*jechałam pociągiem do Krakowa. Pociąg był bez okien, miał godziny przestoju i nie czuło się nóg z zimna. Czekałam cały dzień, ale nie uzyskałam pozwolenia na widzenie męża.*

Odwiedził ją w domu Tadeusz Kucharczyk, który opuścił więzienie wcześniej, zapewnił, że Franciszek żyje i zaferował Jej pomoc. W ten sposób wlał w Jej serce nadzieję. Na mocy amnestii z lutego 1947 r. Franciszek został zwolniony z reszty kary. Helena zaś nie zapomniała tego gestu Tadeusza Kucharczyka aż do śmierci, otaczając miłością i przyjaźnią jego syna Leopolda, spotkanego przypadkowo pod limanowskim Krzyżem na Miejskiej Górze w roku 2001. Myślała często i powtarzała, iż doczekawszy się wolnej Ojczyzny, na budynku w którym męczono limanowskich bohaterów zostanie przynajmniej umieszczona skromna tablica z ich nazwiskami. Niestety! Nie doczekała tego. Powinniśmy wypełnić Jej testament! Oczekują tego także rodziny limanowskich „Żołnierzy Wyklętych”.

Po powrocie z więzienia Franciszek pracował w prywatnym warsztacie ślusarskim, specjalizując się w pracach artystycznych. Pasją jego życia było robienie z blachy pięknych kapliczek. Jedną z nich z porcelanowymi figurkami św. Rodziny ozdobiła jego dom. Drugą pasją były występy w Amatorskim Teatrze Ziemi Limanowskiej. Z racji tych występów teatrem tym zainteresowała się Helena i chętnie przychodziła na spektakle. Gdy teatr przestał funkcjonować, ubolewała, że w Limanowej zamiera życie kulturalne.

W 1948 r. urodził się syn Julian, a w 1952 Jan. Jako przykładowa matka wraz z ojcem zwracali wielką uwagę na ich dobre wychowanie i staranne wykształcenie.

Po 1956 roku Franciszek pracował jako nauczyciel zawodu w Zasadniczej Szkole Zawodowej „Metalowce”, a potem w Technikum Mechanicznym. Helena pracowała zaś jako gospodyni domu i krawcowa. Zakład krawiecki miała w domu, a potem przy ul. Krótkiej. Przeżycia i przemęczenie sprawiły, iż w 1964 r. poważnie zachorowała i była leczona przez dłuższy okres w szpitalu wojskowym w Krakowie. Odwiedzającemu ją tam synowi Julianowi tak spodobał się wtedy zawód lekarza, że po maturze w 1966 r. podjął studia w Akademii Medycznej w Krakowie. Młodszy zaś syn Jan, studiował weterynarię we Wrocławiu.

3 kwietnia 1979 r. zmarł nagle Franciszek. Miał 70 lat. Po jego śmierci oraz założeniu przez synów swych rodzin, (Macieja ►

► w Skawinie, Juliana w Krakowie, a Jan najpierw we Wrocławiu, a potem w Bieszczadach) Helena mieszkała nadal w domu przy ul. Kilińskiego 105. Gdy jednak w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku przebudowano tę ulicę i zburzono rodzinny dom, przeniosła się do mieszkania w pobliskim bloku przy ul. Zielonej. Odtąd tu organizowała życie rodzinne i przyjacielskie. W styczniu 2009 roku przeżyła śmierć syna Macieja. Mieszkanie Jej było zawsze otwarte dla wszystkich. W centralnym miejscu w pokoju stał stół, na którym był zawsze jakiś poczęstunek. Ściany zaś przyozdabiało mnóstwo pięknych obrazów limanowskich malarzy i innych, którymi się pasjonowała. Na balkonie wisiała zaś kapliczka – ta sama, która kiedyś była na domu przy ul. Kilińskiego. W lecie balkon ten był barwnie ukwiecony, a w zimie ożywiały go ptaki karmione wrażliwą dłonią Pani domu. Wewnątrz mieszkania zawsze na parapecie były zadbane kwitnące cały rok storczyki oraz bujnie rozrośnięta hoja. Wśród tych obrazów i kwiatów krzątała się energicznie pogodna i drobna ciałem, ale wielka duchem Gospodyni. Z powodu wieku i chorób kilkakrotnie przebywała w limanowskim szpitalu i tam, w godzinach południowych 20 września 2013 r. z błogosławieństwem kapłańskim odeszła do wieczności.

Jako bardzo skromna i niewymagająca dla siebie żadnych zaszczytów, nigdy zapewne nie przypuszczała jak dostojny będzie jej pogrzeb, i jak wielką rzeszę pamiętających o niej zgromadzi. Mszy pogrzebowej 23 września przewodniczył biskup senior Władysław Bobowski z Tamowa, który przy był w imieniu limanowskiego rodaka biskupa Andrzeja Jeża. W imieniu kardynała krakowskiego ks. Stanisława Dziwisza przybył infułat Dariusz Raś, który odczytał okolicznościowy list od metropolity krakowskiego. W koncelebrazie byli też limanowski proboszcz ks. Wiesław Piotrowski, ks. Józef Poręba, ks. Stanisław Wojcieszak i ks. Grzegorz Ociepka, który wygłosił pogrzebowe rozważanie. Sp. Helena Dutka przeżyła 89 lat. Ciało jej złożono na parafialnym cmentarzu w Limanowej, obok męża, z którym żyła przez 38 lat w małżeństwie.

## Kobiety geniusz Pani Heleny

W czym przejawiał się określony przez bł. Jana Pawła II geniusz kobiety śp. Heleny Dutki? W czym też Jej wartość przeżywała perły? (Prz. 31,10).

### - Człowieczeństwo

Helena była wspaniałym człowiekiem. Człowiekiem sumienia i serca. Wnuczka Marynia dała o Niej takie świadectwo: *W życiu nastawiona była na to by „Być”, dlatego jej największą inwestycją byli ludzie. Z jej ust nigdy nie padło zdanie „nie mam czasu”. Miała zasady, nigdy nie była zniewolona przez konwenanse. Umiała postawić na swoim i była bardzo uparta, ale kto wie jak wyglądałyby jej losy, gdyby nie ta determinacja, To był człowiek bez pozycy. Człowiek na 100 %.*

Miała wrodzoną inteligencję i bystrość w ocenie ludzi i spraw. Posiadała dar rozmowy i wysłuchania drugiego człowieka oraz perswazji. Była otwarta i gościnna. Miała bardzo wielu znajomych z kręgu lekarzy i nauczycieli szkół średnich, z którymi się szczerze przyjaźniła. Nawiązywała też bliski kontakt z ludźmi prostymi, a także z młodzieżą. Cieszyła się, że dane jej było poznać prof. Wandę Półtawską. Miała dużo wdzięku, wyczucia, kultury bycia i odwagi. Potrafiła pouczyć, doradzić, zwrócić uwagę, ale i zażartować. Była człowiekiem szczerym, prawym, dobrym i szlachetnym oraz wdzięcznym. Pamiętała o imienninach bliskich. Szanowała siebie i innych.

Była dyrektorką Miejskiej Biblioteki Publicznej w Limanowej Halina Matras stwierdziła, że Pani Helena *nigdy nie chciała się kłaniać oczywistościom, a prawdom kazać, by za drzwiami stały* (C.K.Norwid).

*Ona miała swoją prawdę o świecie i ludziach. Była czytelniczką Biblioteki Miejskiej i bardzo dużo czytała. Interesowała ją biografie, powieści obyczajowe oraz książki z zakresu historii miasta Limanowa, a także sztuki. Brała udział w organizowanych wystawach obrazów i niektóre z nich nabywała. Jej ulubionymi autorami byli Józef Ignacy Kraszewski, Jan Dobraczyński, Roman Brandstaetter. Regularnie czytała tygodnik „Gość niedzielny” oraz „Echo Limanowskie”.*

### - Religijność

Pani Helena była osobą wierzącą w Boga i nie pytała o sens życia. Ona go miała. Dziwiła się tylko, dlaczego ludzie patrząc w niebo, czy w potęgę gór nie dostrzegają piękna oraz wielkości ich Stwórcy. I dlaczego tego piękna świata nie szanują, ale go niszczą. Lubiała w chwilach wolnych iść na spacer ul. Leśną lub wyjechać na przełęcz pod Ostrą albo na Piasierbiec, by snuć refleksje nad życiem i światem. Chętnie podróżowała. W 1984



Helena Dutka na spacerze.

roku była na pielgrzymce w Rzymie organizowanej przez parafię limanowską. Dziesięć lat później odbyła pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Odwiedziła też Krym i kraje bloku wschodniego. Chciała jeszcze pojechać do USA, gdzie przed laty przebywali jej wujkowie. Podróże te nie były tylko zaliczaniem, ale przeżyciem i ubogaceniem osobowości. Wiara w Boga dawała jej siłę do wytrwania w tak wielu doświadczeniach życiowych. Wiarą motywowała szlachetność życia. Lubiała przychodzić do limanowskiej bazyliki, nie tylko w święta, ale i dni powszednie, by w ciszy polecać Bogu różnorakie sprawy. Miała tu swoje ulubione miejsce. W domu zaś miała książeczki do modlitw i różaniec na półce, w pobliżu łóżka, w zasięgu ręki. Mimo to była krytyczna wobec siebie i zarzucała sobie, że może za mało się modli.

W czasie pogrzebu syn Julian powiedział na cmentarzu: *Intuicyjnie można było zawsze wyczuć jej wsparcie i pozytywną ingerencję w nasze życie, a czytniła to z dala, poprzez nieustanną modlitwę i wstawiennictwo za nas do Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej.*

Z pobudek wiary i obowiązków wobec parafii, bezinteresownie szyla obrusy na ołtarze czy szaty liturgiczne. Podarowała też do Muzeum Parafialnego cenny obraz Franciszka Mraźka „Ulica Krakowska – pod koniec XIX wieku”, a sama zadowolona się jego kopią namalowaną przez przyjaciółkę Annę Potrzebowską. Zwracała też



W czasie wernisażu wystawy „Okruchy pamięci - Limanowa na starej fotografii” - 2008 r. Helena Dutka siedzi pierwsza z lewej.

uwagę na życie wiarą w rodzinach swoich dzieci. Przez życie przygotowywała się na śmierć. Dwa dni przed odejściem powiedziała, że jest pogodzona z odejściem i jak tylko potrafiła spełniła swoje życie.

#### - **Strażniczka pamięci historycznej**

Helena Dutka była strażniczką pamięci historycznej przepojoną miłością do Ojczyzny – Polski, i do małej Ojczyzny Limanowej. Z powodu postaw patriotycznych ona sama oraz jej rodzina wiele wycierpiała, bo była wrogiem władzy ludowej. Chlubiała się postawą męża. Miała bardzo realną i krytyczną ocenę wydarzeń, które dokonały się w Polsce w ostatnim czasie. We **Wspomnieniach** tak pisała: *Niektórzy mówią, że stan wojenny to niewielka sprawa. W Limanowej nie było tak widać. Inaczej było w wielkich miastach. Stan wojenny zastał mnie we Wrocławiu. Widziałam chmurę latających śmigłowców, nocne aresztowania – wyprowadzali ludzi w piżamach, gromadzili na podwórkach. Wracając z Wrocławia z dworca w Krakowie pojechałam do dzieci do Nowej Huty. Powitano nas gazem łzawiącym, aż ciężko było dotrzeć do celu.*

Z Placu Centralnego gdzie wysiadła z tramwaju, drogą, którą normalnie idzie się 3 minuty, pośród huku świec dymnych, armatek wodnych szła ponad pół godziny.

Bardzo przeżywała zanik wartości etycznych w życiu społecznym. Ubolewa-

ła, że wielu młodych i niekiedy wykształconych ludzi nie może w Polsce znaleźć pracy i muszą się tulać poza jej granicami. Inni zaś nie „ruszą palcem bez pieniędzy, bo się nie oplaca.

Z wielkim entuzjazmem przyjęła wydanie albumów z archiwalnymi zdjęciami z Limanowej zatytułowanych „Okruchy pamięci”. Przekazała na potrzeby tego wydawnictwa wiele wartościowych historycznych fotografii z własnych zbiorów. Jako jedna z nesterek Limanowej służyła pomocą przy redagowaniu opisów zdjęć. Jej pomoc była nieocenionej wartości. Za włożony wkład pracy przy współredagowaniu albumów starej fotografii o Limanowej, została uhonorowana w 2008 r. przez Radę Miasta tytułem i medalem „Przyjaciół Miasta Limanowa”. Medal odebrała później, gdyż w czasie promocji albumu była chora. Bardzo zależało Jej na właściwej edukacji historycznej młodego pokolenia. W trosce o polską gospodarkę zakupy robiła w małych polskich sklepach, a nie supermarketach.

#### - **Praca zawodowa**

Zawód krawcowej wykonywała z powołania. Nic więc dziwnego, że miała swoją renomę i popularność. O możliwość uszycia u Niej ubioru zabiegały najbardziej eleganckie i wymagające panie, bo tak modnie, starannie i nowocześnie potrafiła uszyć tylko Ona. Niekiedy do przymiarki trzeba było podejść kilka razy, ale z uszytego ubrania każdy był zadowolony. Dotrzymywała terminów i nie pobierała wygórowanej ceny za pracę. Szczególnie piękne szyla suknie ślubne. Miała gust i umiała doradzić, jaki ma być materiał, kolor, fason. Umiała też i odmówić, gdyby klientka chciała uszyć suknię ślubną ze zbyt dużym dekoltem. Mając poczucie honoru, nie godziła się na każde żądanie klientów. Strój projektowała sama. Potrafiła też zrozumieć, że komuś się spieszy, dlatego szyla nawet nocą. Dzięki szyciu zyskała wielu znajomych i przyjaciół. Pani Helena słynęła jednak nie tylko z krawiectwa, ale też z gotowania i pieczenia. Szczególnie znane były jej makowce, torty bezowe z masą kawową, smalec ze skwarkami, gołąbki, pieczony przez nią chleb i drożdżówki oraz inne.

#### - **Bezinteresowność**

W czasie pogrzebu na cmentarzu syn Julian tak scharakteryzował jej życie: *nie wiele dla siebie, a tak wiele dla innych.* Helena była bardzo wrażliwa na potrzeby drugich. Nie chciała jednak, aby Jej postuga samarytańska była rozgłaszana. Chętnie pomagała potrzebującym znanym i nie-

Dzieliła się z nimi tym co miała oraz pieniędzmi. To Ona opiekowała się sąsiadującą z nią rodziną Bednarzy, troszcząc się o ich żywność i higienę. Gdy zaś zmarli, pomagała w zorganizowaniu pogrzebów i postarała się w Urzędzie Miasta, by na ich mogiłach zrobiono nagrobki, o które potem osobiście się troszczyła. Nie była konfliktowa, ale zgodna z sąsiadami i znajomymi. Była organizatorką spotkań koleżeńskich przyjaciół oraz ich duszą. Ubolewała też, że dziś ludzie są coraz bardziej dalsi od siebie i że jest coraz większa znieczulica. Także dzieci nie są dobrze wychowywane i uczone szacunku dla innych.

#### - **Łączyła rodzinę**

Śp. Helena była skarbnicą wiedzy o rodzinie i łącznikiem międzypokoleniowym. Przez bliższą i dalszą rodzinę była bardzo kochana i zwracano się do niej „Cio-cia Helenka”. Choć cieszyła się z osiągnięć synów, nigdy się tym nie chełpiła, ale zwracała uwagę, jak oni mogą pomóc innym ludziom. Była punktem odniesienia dla synów i synowych, wnuków i prawnuków. Jakże pięknie napisali oni o niej we wspomnieniach.

*Myślami była nieustannie przy nas. W sytuacjach ciężkich chorób naszych dzieci Jej troska, serdeczne telefony i modlitwy były dla nas nieocenionym wsparciem. Była jak drogowskaz (wnuczka Paula). Inna wspomina: U Babci czułam się zawsze szczęśliwa i bezpieczna. Ona nigdy nas nie rozpieszczała, ale uczyła codziennej dyscypliny. U niej nie wolno było marudzić przy jedzeniu, a ubrania musiały być poukładane. U Babci Helenki byłam prawdziwym dzieckiem. Posiadała ona niewyczerpane pokłady wyrozumiałości i cierpliwości wobec moich wybryków (wnuczka Joasia).*

Natomiast synowa Anna napisała o niej: *Dla mnie teściowa była najlepszą, najbardziej pomocną i dobrą Panią Matką. Chwalila Boga pracą i modlitwą. Pamiętam chwile przed Świętami Bożego Narodzenia, kiedy żywność była na kartki. Mama przyjechała do nas, dźwigając trzy paczki uszek, makowców i innych przysmaków. Piękne było to życie.*

Pani Helena Dutka – to był wspaniały Człowiek.

**„Niewiasta dzielna”  
i „Geniusz kobiety”.**

**ks. Stanisław Wojcieszak  
Fotografie: archiwum rodzinne**



# Oddajemy szacunek przeszłym pokoleniom

Stanisław Ociepka



„Pewne prawdy jakoś nie mijają, powracają do ludzi wciąż”  
/ Jan Paweł II /

**PAMIĘCI**

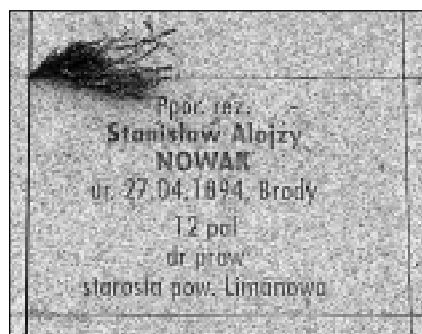
dr praw **STANISŁAWA ALOJZEGO  
NOWAKA**

**1894 – 1940**

**OFIARY ZBRODNI KATYŃSKIEJ  
OSTATNIEGO STAROSTY LIMANOWSKIEGO  
II RZECZYPOSPOLITEJ 1937-1939**

**Limanowa, 2013**

**SAMORZĄD POWIATU LIMANOWSKIEGO**



Tablica przy alei na Polskim Cmentarzu  
Wojennym w Kijowie-Bykowni.

**Z lewej:** Ppor. rez. Stanisław Alojzy Nowak.  
**Z prawej:** Starosta limanowski Stanisław  
Alojzy Nowak.

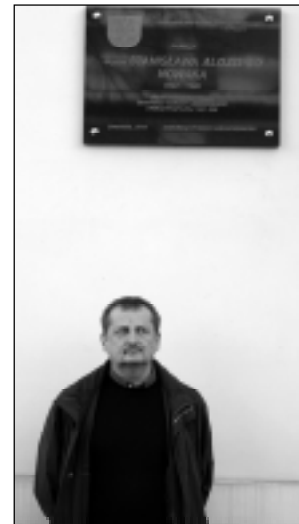




Tablica na ścianie budynku Starostwa Powiatowego w Limanowej upamiętniająca postać dr. praw Stanisława Alojzego Nowaka.



Odsłonięcia tablicy dokonali: Jan Puchała - starosta powiatowy, Tomasz Krupiński - przewodniczący Rady Powiatu, Andrzej Harassek - wnuk S. A. Nowaka.



Andrzej Harassek przy pamiątkowej tablicy starosty limanowskiego A. S. Nowaka.

**Na ścianie budynku Starostwa Powiatowego w Limanowej tuż obok głównego wejścia do tego urzędu, umieszczona została tablica upamiętniająca postać dr. praw Stanisława Alojzego Nowaka, ostatniego starostę limanowskiego II Rzeczypospolitej, który został zamordowany przez sowieckie NKWD w 1940 r.**

Odsłonięcia wmurowanej tablicy dokonano 27 listopada 2013 r., w ramach programu XXVI sesji Rady Powiatu. Na początku sesji Tomasz Krupiński, przewodniczący Rady Powiatu przybliżył postać Stanisława Nowaka. Podkreślił również z czyjej inicjatywy zrodziła się myśl uhonorowania pamięcią starosty limanowskiego sprawującego ten urząd w latach 1937–1939, (Czytelnikom przypominamy, że postać starosty została przedstawiona w „Echu Limanowskim” w nr 222-223, marzec-kwiecień, 2013 r.). Aktu odsłonięcia pamiątkowej tablicy dokonali: Tomasz Krupiński - przewodniczący Rady Powiatu, Jan Puchała – starosta powiatu limanowskiego oraz Andrzej Harassek – wnuk Stanisława Alojzego Nowaka, reprezentujący rodzinę.

W uroczystości uczestniczyli radni Powiatu, a także goście zaproszeni na sesję Rady Powiatu.

W rejonie budynku Starostwa Powiatowego to drugi już ślad upamiętnienia osoby, której winniśmy wyrażać szacunek. Pierwszym jest obelisk stylizowanego jabłka w brązie na kamiennym cokole piaskowca z tablicą poświęconą Józefowi Markowi – twórcy tradycji sadowniczej na Limanowszczyźnie, który był posłem na Sejm w latach 1957–1958.

Wybitny Polak, prymas tysiąclecia - kardynał Stefan Wyszyński, powiedział:

*Gdy gaśnie pamięć ludzka, dalej mówią kamienie.* Tą głęboką filozoficzną myśl można odnieść do stanu upamiętnienia wielu miejsc naznaczonych tragicznymi wydarzeniami, jakie miały miejsce w okresie II wojny światowej oraz zaraz po jej zakończeniu w Limanowej. Od transformacji ustrojowej w 1989 r., minęły 24 lata, a w naszym mieście trudno by szukać chociażby malutkiej tabliczki oddającej hołd ludziom pomordowanym w czasie II wojny jak i tych, którzy ginęli w walce o wolną Polskę.

Historii nie można zmieniać, można ją jednak w rozmaity sposób upamiętniać. W wielu miastach tworzy się „ścieżki pamięci” wyznaczone przez pomniki i pamiątkowe tablice. Niestety u nas w Limanowej w tej sprawie jest wiele jeszcze do zrobienia.

Cieszy więc fakt, że do skromnej liczby tablic wyznaczających „ścieżkę pamięci” w naszym mieście przybyła ta ostatnio odsłonięta. To dzięki przyjętej uchwałą 21 maja 2013 r. przez Radę Powiatu można było w odpowiednio krótkim czasie tablicę zaprojektować i wykonać staraniem Starostwa. Pozytywną opinię w tej sprawie wydał także Wojewódzki Konserwator Zabytków, z uwagi na to, iż budynek Starostwa Powiatowego w Limanowej znajduje się pod ochroną konserwatora.



Satysfakcję ma także redakcja „Echa Limanowskiego”, która w trzech kolejnych numerach przywołała pamięć o postaci Stanisława Alojzego Nowaka. Były to artykuły: *Dzwon Pamięci – uderzył po raz pierwszy* („EL” nr 220-221, styczeń-luty 2013 r.), *Dr Stanisław Alojzy Nowak – ostatni starosta limanowski w II Rzeczypospolitej* („EL” nr 222 -223, marzec-kwiecień), *Szacunek dla przeszłości* („EL” nr 226-227, lipiec-sierpień).

Miejmy nadzieję, że w najbliższym czasie limanowską „ścieżkę pamięci” wzbogaci zrekonstruowany „Pomnik Nieznanego Żołnierza” na rondzie „Niepodległości”, przy zbiegu ulic: Matki Boskiej Bolesnej, Moniuszki i Targowej.

**Wszystkie formalne sprawy zostały już rozstrzygnięte!**

Oczekujemy tylko na decyzję wykonania rekonstrukcji pomnika.



# Uśmiech dziecka jest najważniejszy

W Limanowskim Domu Kultury w sobotę 14 listopada Miejskie Przedszkole nr 1 w Limanowej obchodziło jubileusz 50-cio lecia. Zaproszeni goście mogli podziwiać barwne występy przedszkolaków, otrzymali również okolicznościowy folder prezentujący pracę przedszkola w ciągu 50-ciu lat.

Przed jubileuszowymi obchodami o pracy przedszkola rozmawialiśmy z Ireną Kurczab - dyrektorem Miejskiego Przedszkola nr 1 w Limanowej.

- *Aż trudno uwierzyć, ale Przedszkole nr 1 ma już 50 lat. Czym różni się tamta placówka sprzed pół wieku od tej obecnej?*

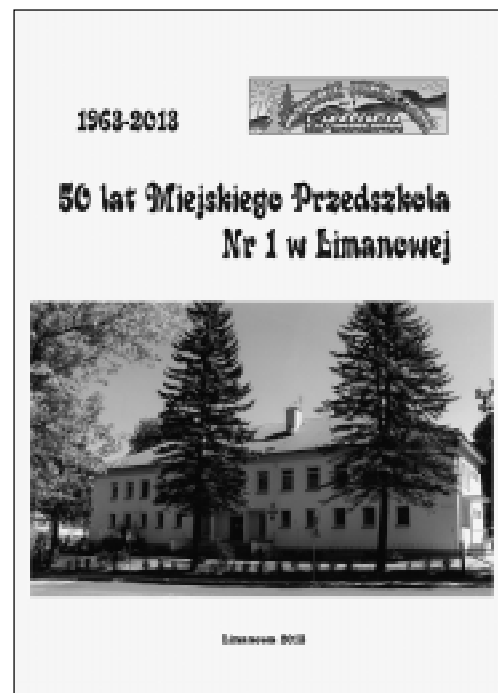
- Państwowe Przedszkole Nr 3 – bo taka była pierwsza nazwa naszej placówki, powstało w 1963 r. W budynku mieściły się cztery oddziały przedszkolne, do których uczęszczały tylko 122 dzieci matek pracujących. Przedszkole było czynne 9 godzin. Dzisiaj Przedszkole posiada dziewięć oddziałów, w tym dwa zamiejscowe mieszczące się w Zespole Szkół Samorządowych Nr 1, i czynne jest 11 godzin. W roku bieżącym do naszej Pla-

cówki uczęszcza 240 przedszkolaków.

- *Zmieniły się także priorytety przedszkola jako instytucji, do której trafiają najmłodsi?*

- Naszym zadaniem jest sprostać wyzwaniom XXI wieku. Przygotować jak najlepiej dzieci do zadań, jakie czekają je w szkole. Dlatego staramy się, aby nasza placówka rozwijała zainteresowania dzieci, dbała o rozwój społeczny, emocjonalny oraz fizyczny małych pociech. Działamy prężnie i dynamicznie, kreatywnie i twórczo, jesteśmy otwarci na potrzeby drugiego człowieka, dzięki czemu odnosimy wiele sukcesów. A wszystko w atmosferze bezpieczeństwa i przyjaźni, bo dla nas ważne są sprawy najmłodszych, troska o ich uśmiech i radość.

Jolanta Bugajska



Tytułowa strona jubileuszowego folderu.

- *Życie Przedszkola wyznaczają ważne wydarzenia...*

- W kalendarzu imprez naszego Przedszkola ukształtowało się wiele tradycji, każdego roku dzieci przebrane w cudowne stroje prezentują umiejętności wokalczy-



no – tanecznie – aktorskie podczas różnych uroczystości, między innymi Dnia Nauczyciela, Dnia Babci i Dziadka, Dnia Mamy i Taty, Dnia Kobiet, Dnia Dziecka. Wspólnie bawimy się podczas Andrzejek, zabawy karnawałowej, co roku przyjeżdża do nas św. Mikołaj. Umiejętności naszych przedszkolaków są niezwykle – dlatego też bierzemy udział w różnego rodzaju konkursach organizowanych przez środowisko lokalne, choćby w konkursie „Od widza do aktora”, letnich i zimowych spartakiadach, Limanowskiej Triadzie Artystycznej, konkursach recytatorskich w Miejskiej Bibliotece Publicznej, konkursie palm wielkonočných, Przeglądach Kolędniczych, Festiwalach Śpiewających Dzieci itd. Nie ukrywamy, że odnosimy duże sukcesy.

- *Przedszkole to ważne wydarzenia, ale też budynek. Tu również zaszły zmiany.*

- W miarę upływu lat udało nam się zmodernizować kotłownię, wymieniono okna, wyremontowano dach, salę do ćwiczeń gimnastycznych, piękną kuchnię i kolorowe łazienki. Ponadto dzięki zaangażowaniu rodziców i pracowników powstał nowy plac zabaw z altaną. Wykonano także śliczne malunki na ścianach z bohaterami ulubionych bajek naszych pociech.

- *Czym dla Pani Dyrektor, tak osobiście, jest Przedszkole?*

- Trudno jest być obojętnym wobec mijającego czasu i miejsca, w którym zostawiło się część siebie. Dla mnie przedszkole to nie tylko placówka, to również miejsce, gdzie panuje atmosfera przyjaźni, ciepła. Cieszę się, że wszyscy w przedszkolu jesteśmy ogromną rodziną, tworzoną przez kolejne pokolenia dzieci i ich rodziców, nauczycieli i pracowników niepedagogicznych. Dzięki temu wszyscy tworzymy klimat wzajemnej współpracy i życzliwości.

**Fotografie: Dorota Kowalska**



# Limanowski Ekonom ma już 50 lat

Lilla Kubacka-Pyrc



12 listopada 2013 roku w ZS nr 1 im. J. Piłsudskiego odbyła się wielka uroczystość - jubileusz 50-lecia powstania szkoły.

Obchody rozpoczęła msza św., której przewodniczył ks. Biskup Andrzej Jęz. Towarzyszyli mu m.in. jeden z pierwszych katechetów w Limanowej- Sowlinach ks. Prałat senior Jan Bukowiec oraz księża- absolwenci Ekonoma.

Wśród zaproszonych gości znaleźli się przedstawiciele władz państwowych, kościelnych, samorządowych oraz reprezentujący wyższe uczelnie „zaprzyjaźnione” z ZS nr1. Podczas przemówień podkreślano wartość dobrego wykształcenia, rolę szkoły w wychowaniu młodego pokolenia, składano gratulacje na ręce dyrekcji.

Część artystyczna poświęcona była historii szkoły. Nie zapomniano również o profesorach, którzy przez całe lata dbali o jej jakość.

Obecność liczного grona absolwentów, emerytowanych nauczycieli oraz „sympatyków” Ekonoma wpłynęła na ciepłą, pełną wspomnień atmosferę uroczystości.

Początki szkoły sięgają 1963 roku. Wtedy to 3 września, w części budynku po LO w Limanowej-Sowlinach naukę rozpoczęło 80 uczniów Technikum Ekonomicznego pod opieką wychowawczą mgr Janiny Pasoń-Zapały, pani Stefanii Wróbel oraz twórcy szkoły i jej pierwszego dyrektora mgr. Adama Biedronia.

Czastworzenia placówki to bardzo trudny okres jej działalności. Największym problemem była baza lokalowa, a właściwie jej brak. Mimo to, „młodzież była wspaniała i bardzo ambitna” wspomina pierwszy katecheta Ekonoma ks. Jan Bukowiec - również jubilat. „Lekcje religii odbywały się na świeżym powietrzu lub w kaplicy, w której kurtyną zasłanialiśmy ołtarz i Najświętszy Sakrament - atmosfera była wyjątkowa”.

Początkowo szkoła kształciła głównie kadry ekonomiczne. Z biegiem lat dyrekcja

poszerzała ofertę, tworząc m.in. Zasadniczą Szkołę Handlową, Technikum Ekonomiczne dla Pracujących, Zasadniczą Szkołę Zawodową o specjalności sprzedawca.

Skuteczne zabiegi twórcy szkoły mgr. Adama Biedronia, wysoki poziom nauczania oraz dobra opinia o szkole przyciągały młodzież z Limanowej i okolic. W bardzo szybkim tempie rosła liczba uczniów i nauczycieli. W 1973 roku w Ekonomie uczyło się 879 uczniów i pracowało 31 nauczycieli. Dotychczasowa siedziba szkoły nie była w stanie zaspokoić rosnących potrzeb. W czerwcu 1970 roku podjęto decyzję o rozpoczęciu budowy nowego obiektu szkolnego wraz z internatem przy ulicy Józefa Piłsudskiego 81. Jest to obecny budynek ZS nr 1.

Przy budowie szkoły pracowali uczniowie i nauczyciele, a szkolny zespół

muzyczny „Decybele” wyjeżdżał z koncertami dla dyrekcji i pracowników firmy budującej szkołę. Dzięki wspólnemu zaangażowaniu dyrektora Adama Biedronia, profesorów oraz wychowanków już dwa lata później oddano do użytku 13 sal lekcyjnych i internat. Pracownie były systematycznie wyposażane w nowy sprzęt i pomoce naukowe.

Zespół „Decybele” w 1975 roku zmienił nazwę na „Consonans” i nieprzerwanie uświetnia szkolne akademie, uroczystości państwowe w mieście, powiecie i województwie. Założycielem zespołu był wybitny nauczyciel pan Ludwik Mordarski. Następnie funkcję opiekunów muzycznych „Consonansu” przejęli pani Anna Jaworz Dutka i pan Leszek Mordarski, który prowadzi zespół do dziś. Tak jak w przeszłości zespół odnosi wielkie sukcesy, zdobywa wyróżnienia i nagrody, kształci znakomitych wychowanków i jest niewątpliwą dumą Ekonoma.

W 1976 roku funkcję dyrektora objął mgr Władysław Prędko. Wtedy też w związku ze znacznym rozszerzeniem oferty kształcenia zmieniono nazwę szkoły na Zespół Szkół Zawodowych. Utworzono nowe typy szkół, a sam budynek został rozbudowany. Warto zauważyć duże zaangażowanie młodzieży w prace przy budowie szkoły oraz przy porządkowaniu budującego się szpitala i Domu Kultury w Limanowej.

W 1981 roku stanowisko dyrektora szkoły przejął mgr Zbigniew Stanik. Również w tym okresie szkoła przeszła drogę

dużych zmian poprawiających warunki pracy i jej funkcjonalność. Utworzono nowe, dobrze wyposażone pracownie np. gastronomiczną, co pozwoliło na otwarcie nowego profilu - Liceum Zawodowe Gastronom. Profil bardzo popularny również dzisiaj.

Od 1990 roku funkcję dyrektora ZS nr 1 pełni pan mgr Eugeniusz Bogacz. W ciągu tych 23 lat wielokrotnie zwiększyła się liczba uczniów i oddziałów. Powstały nowe typy szkół i kierunki kształcenia. Szkoła zmieniła nazwę na Zespół Szkół nr 1, a od 2003 roku nosi imię Józefa Piłsudskiego. Wielu jej uczniów to laureaci ważnych olimpiad i konkursów na szczeblu centralnym. Przy wsparciu organu prowadzącego, którym jest Starostwo Powiatowe w Limanowej przeprowadzono liczne inwestycje mające na celu unowocześnienie szkoły i jej modernizację. W 2012 roku uroczystie otwarto największą w Limanowej halę sportową. Wokół szkoły zbudowano nowe drogi dojazdowe, wygodne parkingi, a w trakcie budowy jest boisko lekkoatletyczne.

Od początku dobrze układa się współpraca szkoły z Parafią Limanowa-Sowliny, której patron św. Stanisław Kostka jest również opiekunem polskiej młodzieży.

Krótką charakterystykę współczesnego Ekonoma przedstawił dyrektor Eugeniusz Bogacz.

*„Aktualnie szkoła liczy 1400 uczniów, a pracuje w niej 111 nauczycieli. Od trzech lat funkcjonujemy w dwóch budynkach: bud. A - ul. J. Piłsudskiego i bud. B - ul. W. Witosa. Poszerzyliśmy ofertę edukacyjną, otwierając nowe kierunki kształcenia np. technik geodeta, technik weterynarii, dużą popularnością cieszą się technika gastronomiczne, hotelarskie, ekonomiczne czy handlowe, a także liceum*



*ogólnokształcące o przedmiotach wiodących: matematyka- informatyka, j. polski-historia, biologia- chemia, geografia-wos. Bardzo dobrze działają zespoły artystyczne i kółka zainteresowań. Aby zwiększyć szanse edukacyjne, szkoła współpracuje z wieloma wyższymi uczelniami np. AGH w Krakowie, AP w Krakowie, Państwową Wyższą Szkołą Zawodową w Nowym Sączu, Wyższą Szkołą Biznesu w Nowym Sączu itp. W celu poprawienia bazy szkoły oraz wyrównania szans edukacyjnych szkoła uczestniczyła w kilku projektach np. „Rozwiń Skrzydła - wyrównywanie szans edukacyjnych uczniów LO z powiatu limanowskiego”, „Szlakiem zmian - program kształcenia przyszłych kadr w branży budowlano - architektonicznej w powiecie bocheńskim i limanowskim”. Obecnie uczestniczy w projektach „Comenius” oraz „Modernizacji i kształcenia zawodowego w Małopolsce”.*

*W misji naszej szkoły czytamy: „Wszyscy pragniemy aby ZS Nr 1 im. J. Piłsudskiego w Limanowej był szkołą przyjazną, sprawiedliwą i w*

*pełni przygotowującą młodzież do życia. Mamy przekonanie, że tak jesteśmy odbierani wśród jej absolwentów, obecnych uczniów i ich rodziców oraz społeczności lokalnej”.*

50 lat to czas wielkich zmian. Zmieniła się Polska, przechodząc z siemieżnego komunizmu do nie zawsze łatwej demokracji. Zmieniali się bohaterowie narodowi, a co za tym idzie patron szkoły, a nawet nazwa ulicy, przy której szkoła jest usytuowana. „Odeszło” wielu wybitnych profesorów, uczniów - „narodzili” się nowi. Nie zmieniła się jednak popularność Ekonoma. Gdzie jest źródło tego sukcesu? Myślę, że najlepiej wiedzą to jego absolwenci, którzy na pytanie „czego nauczyła mnie szkoła?”, odpowiadali: „odpowiedzialności, pracy i systematyczności, sumienności, kreatywności, szacunku dla człowieka myślącego inaczej oraz tego, że warto walczyć o swoje marzenia i dążyć do wyznaczonego celu”. Wszyscy podkreślali też solidną pracę i pełne zaangażowanie kadry profesorskiej.

**Fotografie: arch. ZS nr 1, arch. albumu „Okruchy pamięci”**



Zespół Szkół Zawodowych (dziś Zespół Szkół nr 1) budowała firma PBO „Podhale”.



Przed budynkiem administracyjno-mieszaniowym kierownik Dudczyk (z prawej) w rozmowie z pracownikiem technicznym.



# Kościół drewniany na Limanowszczyźnie

Józef Szymon Wroński

Na zaproszenie Władz Uczelni Limanowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w dniu 17 października 2013 r. wygłosiłem wykład inauguracyjny zatytułowany: *Kościół drewniany na Limanowszczyźnie*. Temat ów został mi zaproponowany i przekazany do zreferowania przez ks. prof. Stanisława Wojcieszaka – duszpasterza akademickiego Limanowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Pragnę nadmienić, iż ową tematyką zajmowałem się już wcześniej, czego rezultatem był cykl artykułów zamieszczonych w dwumiesięczniku „Echo Limanowskie” w numerach: od 89/90 do 96/97. Tutaj, czyli w niniejszym artykule pragnę jedynie przybliżyć Czytelnikowi niektóre ważniejsze wnioski z przeprowadzonych wówczas badań, a zaprezentowanych w wykładzie inauguracyjnym.

Podsumowując problem kościołów drewnianych na Limanowszczyźnie, już na wstępie rodzi się zasadne pytanie: Czy naprawdę nastąpił zmierzch kościołów drewnianych? Na to pytanie odpowiedź nie jest ani tak prosta, ani oczywista. Niech zatem odpowiedzią będą fakty. Niegdyś na Limanowszczyźnie przeważały kościoły drewniane. Z czasem były one zastępowane przez murowane, gdyż te swojskie drewniane kościoły były albo za małe dla powiększającej się wspólnoty wiernych, albo trawił je czerwony kur, albo ich stan był tak opłakany – jak czytamy w wielu kronikach parafialnych – że trzeba je było rozebrać. Tak więc z górą ponad sto lat temu ogień strawił kościoły w Kaninie i Przyszowej. Na ich miejscu stanęły świątynie murowane. Z kolei w Msza-

nie Dolnej i Limanowej rozebrano także drewniane kościoły, by na ich miejscu wzniesić wspaniałe świątynie murowane. Arch. Zdzisław Mąceński z Warszawy ubolewał nad tym, że ten uroczy kościół limanowski trzeba było usunąć, by na jego miejscu można było zbudować kościół murowany. Spłonęły też kościoły w Niedźwiedziu i Olszówce. Natomiast kościoły w Młyńskich i Siekierczynie, po wybudowaniu nowych – murowanych, zostały rozebrane. Niejeden zainteresowany tą problematyką w dobrej wierze i w obronie tych „rozbiórkowych decyzji”, powie: *Też mi wielka strata, przecież nie były to kościoły ani wybitne, ani też stare*. Ktoś inny znów wytoczy mocny argument ekonomiczny i zapyta: Czy zdaje so-

bie Pan sprawę z tego, ile kosztuje rocznie utrzymanie takiego drewnianego kościoła?

By nie być jednak posądzonym o jednostronność, że wspominam tylko kościoły, które zniknęły, trzeba zaznaczyć, iż w Męcinie wybudowano kościół murowany, a stara zabytkowa świątynia drewniana stoi w dalszym ciągu. Zachowany został również stary zasłużony kościółek (prezbiterium pierwotnie w charakterze kaplicy) w Pasierbcu, mimo iż w czasach PRL zbudowano tu kościół murowany. Zachowane zostały także kościoły drewniane w Dobrej, Jodłowniku, Łukowicy oraz Skrzydlonej, chociaż w ich otoczeniu powstały nowe – murowane. W tym miejscu trzeba wyrazić wdzięczność zarówno proboszczom, jak również parafianom, że utrzymują te świątynie – owe bezcenne znaki tożsamości kulturowej nie tylko lokalnej, regionalnej, ale także polskiej.

I jeszcze jeden pozytywny fakt, który podaję nie tyle dla równowagi, ile bardziej dla przeciwwagi. W tym czasie, gdy w wielu miejscowościach budowano kościoły murowane, w Wilkowisku w latach 1917–1923 wzniesiono kościół drewniany i to wzorowany na nieistniejącym już drewnianym kościele limanowskim, rozebrany w 1911 roku. Podobnie było w Jurkowie, gdzie





w 1913 r. wzniesiono kościół drewniany według projektu arch. Jana Tarczałowicza, pod kierunkiem budowniczego Michała Mrugały. Kościół ten w latach 1953, 1956–1957 został odnowiony i rozbudowany. W tym samym niemal czasie, bo w latach 1958–1960, czyli w okresie „politycznej odwilży”, wzniesiono drewniany kościół w Szczawie, chociaż dziś w pobliżu stoi też drugi kościół murowany. Do pozytywnych zjawisk omawianej problematyki zaliczyć trzeba również fakt, że w ramach szeroko zakrojonej akcji ochrony tożsamości kulturowej powstał Ruch Ochrony Swojszczyzny, który zalecał w miarę możliwości zachowanie kościołów drewnianych, a gdyby to było niemożliwe, to zachęcano do nawiązywania przy wznoszeniu kościołów murowanych do tych bezcennych skarbów polskiej kultury. W wyniku tego ruchu powstało szereg kościołów murowanych w nurcie swojsko-regionalnym i swojsko-narodowym, o czym szeroko pisałem w monografii: *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej*, w rozdziale zatytułowanym: *Recepcja*.

Jeśli zaś idzie o typy kościołów, jakie występują na Limanowszczyźnie, możemy wyróżnić następujące: *typ pierwszy* to kościół tradycyjny o dachu jednokalenicowym, przykrywającym korpus nawowy i prezbiterium oraz wieży o zwężających się ścianach (np. kościół w Szyku czy w Jodłowniku); *drugi typ* również tradycyjny to kościół o dachu jednokalenicowym nad korpusem nawowym i prezbiterium, ale z wieżą o prostych – pionowych ścianach, z podziałem na dwa segmenty (wzór wieży drewnianego kościo-

ła limanowskiego), np. kościół w Pisarzowej, Męcinie; *trzeci typ* to kościół, którego korpus nawowy i prezbiterium nakryte są odrębnymi dachami, a wieża ma podziały segmentowe (wzór kościoła limanowskiego), np. kościół w Łososinie Górnej; *czwarty typ* to kościół o tradycji obcej (np. wpływ drewnianych kościołów skandynawskich) z transeptem, z podziałem na nawy itd., np. kościół w Jurkowie; *piąty typ* to kościół bezwieżowy (np. w Słopnicach), jaki występował nie tylko na tych terenach (np. tzw. pierwszy kościół limanowski), ale także w całej Polsce do XVII wieku. I wreszcie *typ szósty* łączący dawne tradycje architektury drewnianej z elementami nowymi kościołów murowanych z tego terenu (np. kościół w Szczawie).

Ogólnie rzecz ujmując, na Limanowszczyźnie mamy do czynienia z kościołem tradycyjnym, jednonawowym, z prezbiterium zamkniętym trójbocznie i nakrytym wspólnym wysokim dachem jednokalenicowym nad korpusem i prezbiterium (typ pierwszy – tradycja starsza), albo o odrębnych dachach nad korpusem i prezbiterium (typ trzeci – tradycja późniejsza). Najbardziej charakterystycznym elementem tych kościołów jest wieża o ścianach pochyłych z izbicą, nakryta dachem brogowym (kościół w Szyku i Jodłowniku), albo o układzie dwusegmentowym o ścianach pionowych, nakryta barokowym hełmem. Ten drugi typ wieży, którego wzorem była wieża tzw. drugiego kościoła limanowskiego, występował w Niedźwiedziu (niezachowana), Męcinie, Łososinie Górnej, Lubomierzu

(niezachowana), w Pisarzowej (z 1868 r.) i Wilkowisku (z 1923 r.). Otwory dzwonowe w tych wieżach mają formę kolistą (Męcina) lub czterolistnej koniczynki (Pisarzowa). Z kolei otwory dzwonowe wieży w Wilkowisku, jak również jej kształt wzorowane są zarówno na wieży drewnianego, jak i murowanego kościoła limanowskiego. Ciekawe są wieże kościołów w Łukowicy i Skrzydlnej. Ich korpus wieżowy jest tradycyjny, natomiast zwieńczenie barokowe. Zupełnie odrębną tradycję budowlaną reprezentuje kościół w Jurkowie, mający cechy tradycji skandynawskiej, ale po przebudowie po II wojnie światowej, chcąc tę obcą tradycję oswoić, otrzymał rys polskiej tradycji architektury witkiewiczowskiej. W referacie nie pominąłem też kościoła w Kamionce Małej, jak również kościoła w Dobrej o wnętrzu z pozomym sklepieniem kolebkowym, któremu po bokach towarzyszą płaskie odcinki wsparte na słupach. Jest to jedna z największych i najciekawszych świątyń drewnianych na tym terenie.

Limanowszczyzna jest urokliwym terenem turystycznym z odrębną kulturą regionalną, z własną tradycją i historią. Zadaniem niniejszego referatu było wskazanie na różnice typologiczne kościołów drewnianych, świadczące o swoistości tego regionu, różniące się pod wieloma względami od regionów sąsiednich (np. Sądecczyzny czy Podtatrza) nie tylko w zakresie stroju, kultury czy języka, ale także budownictwa, w tym także budownictwa sakralnego.

**Fotografie: Stanisław Ociepka**

# Ostatnie pożegnanie

W poniedziałkowe, deszczowe popołudnie, 9 grudnia 2013 roku Limanowa pożegnała śp. Stanisława Rakoczego, wieloletniego radcę prawnego, notariusza, posła na Sejm I kadencji RP, współorganizatora obchodów 200-rocznicy uchwalenia Konstytucji 3. Maja, ostatnio bardzo zaangażowanego w prace Grupy Inicjatywnej, działającej na rzecz powrotu pomnika Nieznanego Żołnierza i Powstania Listopadowego, a dla nas naszego drogiego Przyjaciela, dobrego i serdecznego człowieka. Poznaliśmy się jeszcze w czasie studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Staś studiował prawo, a my (moja Żona i ja) byliśmy na germanistyce. Połączył nas krąg wspólnych znajomych i zainteresowania. Bardzo często spotykaliśmy się po zajęciach, by iść razem na ciekawą wystawę, do Filharmonii lub podyskutować w gronie przyjaciół. Stasiu, bo tak się do Niego zwracaliśmy, miał zawsze bardzo zdecydowane poglądy. Nie były to łatwe czasy. Człowiek o określonych poglądach i stojący blisko Kościoła nie zawsze miał łatwo. Staś, jak to pięknie powiedziała Jego Żona, nie bał się komunizmu. Nigdy nie był konformistą. Był wierny swoim zasadom wyniesionym z domu rodzinnego. Dobro nazywał dobrem, zło złem, bez światłocienia. Tym zyskiwał sobie szacunek swoich kolegów, nawet tych, którzy byli bardzo daleko od Jego poglądów. Anegdotą stała się już historia, kiedy Stasiu namówił na udział w procesji Bożego Ciała studiującego z nami Niemca, zdeklarowanego komunistę. Z takimi ludźmi też potrafił rozmawiać i szukać w nich dobra. W dyskusjach, często na trudne tematy, miał zawsze swoje zdanie, którego umiał bronić. Przy tym był zawsze serdeczny, z dużym poczuciem humoru. Znając Jego szlachetność, prosił Go (ja z moją Żoną), by świadkował na naszym ślubie. Po studiach powrócił do swojego rodzinnego miasta Limanowej, więc nasze kontakty nie były tak częste. Ale ile razy spotykaliśmy się, zawsze były tematy do rozmowy, wspomnienia, ale też to, czym żyliśmy teraz, co nas cieszyło, ale i bolało. Także wtedy, gdy ktoś potrzebował pomocy, czy to prawnej, czy po prostu dobrej, życzliwej rady, mógł na Stasia liczyć. W ostatnich miesiącach znów połączyła nas wspólna praca na rzecz powrotu wspomnianego wyżej pomnika Nieznanego Żołnierza na Rondo Niepodległości. Mimo postępującej choroby, Stasiu zaangażował się bardzo w tę pracę, nie licząc swojego drogiego czasu. Dołączając jako piąty do czterech społeczników: Stanisława Ociepki, ks. Stanisława Wojcieszaka, Jerzego Bogacza i Józefa Szymona Wrońskiego, działał z wielkim poświęceniem w pracach grupy, udzielając także swojej kancelarii na miejsce spotkań. Żegnając Go, mamy świadomość, że będzie Go bardzo brakowało, Jego dobroci, uśmiechu i zawsze życzliwego słowa, ale widocznie taka była wola Boża, choć bardzo trudno się z tym pogodzić.

**Szymon Józef Wroński**



Ostatnie pożegnanie Stanisława Rakoczego w kościele pw. św. Józefa w Starej Wsi.

**Fotografie: Stefan Hutek**



# Przybyliśmy, zobaczyliśmy...

## - limanowscy śpiewający chłopcy w Wiedniu

12 września minęła 330. rocznica zwycięstwa króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem. W XVII wieku Turcja Osmańska należała do największych mocarstw europejskich i azjatyckich. Po licznych sukcesach militarnych zagroziła monarchii habsburskiej i chrześcijańskiej Europie. W lipcu 1683 r. pod Wiedeń dotarła ponad 150-tysięczna armia turecka dowodzona przez Kara Mustafę. Miasto i Europa znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Cesarz austriacki Leopold I oraz papież bł. Innocenty XI zwrócili się o pomoc do polskiego króla uważanego po zwycięstwie pod Chocimiem w 1673 roku za największego pogromcę Turków. Papież prosił Sobieskiego: *Ratuj chrześcijaństwo, ratuj Europę*. W tym celu zorganizował Ligę antyturecką, do której przyłączona została armia niemiecka, austriacka i polska. Sobieski zdawał sobie sprawę z bardzo trudnej sytuacji. Jako człowiek wierzący całą ufność złożył w Bogu i Matce Najświętszej. Do podjęcia przez niego decyzji o udziale w odsieczy wiedeńskiej pomógł mu bł. Stanisław Papiński – założyciel zakonu Marianów oraz kapucyn bł. Marco d'Aviano – legat papieski. Król Jan rozpoczął przygotowanie wojska do wyprawy.

W Tarnowskich Górach pożegnał się z żoną Marysienką i z Warszawy wyruszył pod Wiedeń. Odbył też błagalną pielgrzymkę do sanktuarium Matki Bożej na Jasnej Górze, w Piekarach Śląskich i w Krakowie na Piasku. Z Polski wyruszyło ponad 22 tysiące żołnierzy. Towarzyszyła im czeladź obozowa opiekująca się bronią, żywnością i 30 tysiącami koni dla słynnej polskiej husarii.

Do przejścia mieli ponad 500 kilometrów, a czas naglił. Oblężony przez Turków od prawie dwóch miesięcy Wiedeń, był bardzo zniszczony. W mieście panował głód i choroby. Nic więc dziwnego, że dziesiątki tysięcy jego mieszkańców uciekło z miasta. Także cesarz Leopold I opuścił ze swymi najbliższymi stolicę i zamieszkał w Linzu.

Po przybyciu pod Wiedeń Sobieski uzgodnił z przedstawicielami Ligi czas i plan



Koncert w kościele na wzgórzu Kahlenberg. Z tego miejsca król Jan III Sobieski dowodził bitwą o Wiedeń z Turkami.

ataku ze wzgórz otaczających miasto, wśród których jest Kahlenberg (483 m n. p. m.). Na jego szczycie był zniszczony klasztor ojców kamedułów. W dniu ataku 12 września, a była to niedziela, o czwartej rano ojciec Marco d'Ariano odprawił dla króla i wojska Mszę świętą. Służył do niej sam Sobieski. Potem wszystko rzucił na jedną szalę – śmierć albo zwycięstwo. Zjednoczone siły wojsk sprzymierzonych liczyły 70 tysięcy żołnierzy. Dowodził nimi Sobieski. Naprzeciw nich stanęła ponad dwukrotnie większa armia turecka. Nie wiadomo było jak długo potrwa walka. Jednak już po kilku godzinach, mimo zaciekłego oporu, front turecki zaczął się łamać. W decydującej chwili zaatakowała nieprzyjaciela polska husaria. Kara Mustafa, który był pewny zwycięstwa, poniósł najtragiczniejszą klęskę w dziejach swego państwa. Sobieski natomiast uratował Wiedeń i chrześcijańską Europę. Na pamiątkę tego zwycięstwa papież Innocenty XI zatwierdził w całym Kościele, w dniu 12 września, święto Imienia Maryi. Król Sobieski zaś przesłał papieżowi zdobytą chorągiew Sułtana, by w Rzymie

świadczyła o tym zwycięstwie oraz specjalny list rozpoczynający się od słów: *Veni-mus, vidimus et Deus vicit* (*Przybyliśmy zobaczyliśmy i Bóg zwyciężył*). Gdy po skończonej walce król Polski wjeżdżał tryumfalnie do Wiednia tłumy witały go z niezwykłym entuzjazmem. Nie okazał jednak takiego entuzjazmu cesarz Leopold I, z którym spotkał się polski władca 15 września w miejscowości Schwechat.

Po wiktoryi wiedeńskiej rozpoczęto odbudowę na Kahlenbergu kościoła. Odbudowę ukończono w 1734 roku. Jednak z powodu zniesienia przez cesarza Józefa II w 1782 r. zakonów kontemplacyjnych, kameduli opuścili Kahlenberg na zawsze. Potem kościół i klasztor przechodził różne dzieje. Dwusetna rocznica zwycięstwa zwróciła znowu oczy Austrii na Kahlenberg. Nad wejściem głównym kościoła umieszczono wtedy kamienną tablicę informującą o zwycięstwie w 1683 roku. W 1906 r. świątynia została przekazana polskiemu Zgromadzeniu Księżych Zmartwychwstańców. Założone ono zostało w 1836 roku przez polskich emigrantów dla podtrzymania ducha Narodu. ►

▶ Na pamiątkę objęcia opieką przez Zmarłychwstańców tego kościoła paulini z Jasnej Góry przekazali na Kahlenberg obraz Królowej Polski. Także papież św. Pius X podarował kopię obrazu Imienia Maryi z Rzymu. Obok świątyni w dawnej zakrystii urządzono kaplicę z cennymi pamiątkami wiktorii wiedeńskiej. 13 września 1993 r. przybył tam Jan Paweł II, by oddać hołd temu miejscu i jego bohaterom z racji trzechsetnej rocznicy bitwy. Kahlenberg odwiedza rocznie około półtora miliona ludzi. Jak Jasna Góra czy Wawel jest on naszym narodowym sanktuarium i świadkiem historii Polski. Odwiedziny Kahlenbergu zachęcają do refleksji.

Chociaż zwycięstwo pod Wiedniem klasyfikowane jest jako jedno z najważniejszych wśród dwudziestu bitew w dziejach świata, polski król Jan III Sobieski nie doczekał się w Wiedniu pomnika. Nie doczekali się także i ci Polacy, którzy tam walczyli i zginęli. Ponad siedmiuset z nich oddało tam ciało austriackiej ziemi, duszę Bogu, a serce ojczyźnie. Nie doczekali się wdzięczności, ale mają prawo do pamięci. Turcja natomiast (O ironio!) jako jedyna 89 lat po odsieczy nie uznała rozbiórów Polski, i udzieliła schronienia Polakom deportowanym po powstaniach narodowo – wyzwolenczych. Także chorągiew przesłaną przez Sobieskiego papieżowi, w 1965 r. Watykan zwrócił rządowi tureckiemu. My jednak o wiktorii wiedeńskiej pamiętamy.

\*\*\*

Wyrazem tej pamięci był wyjazd Chóru Chłopcęgo Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej na uroczystości 330. rocznicy Odsieczy Wiedeńskiej.

Chór powstał przy limanowskim sanktuarium w 1991 roku, a więc wtedy, kiedy świątynia otrzymała zaszczytny tytuł Bazyliki Mniejszej. Założycielem i dyrygentem chóru jest Halina Dyczek. Zespół śpiewaczy tworzą chłopcy ze szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich. Liczy około 40 chłopców, ale od chwili jego założenia uczestniczyło w śpiewie prawie 300 osób. Chór jest zrzeszony w Międzynarodowej i Polskiej Federacji Pueri Cantores, która liczy ponad 40 zespołów. Jej celem jest wychowanie dzieci i młodzieży poprzez muzykę i udział w liturgii Kościoła Rzymskokatolickiego.

Limanowski chór chłopięcy jest laureatem licznych konkursów (Bydgoszcz, Chełm, Kraków, Szczawa, Nagyálló na Węgrzech i innych). Upiększa on i ubogą różnorakie uroczystości religijne i społeczne w Limanowej. Koncertował też w wielu miastach Polski i poza jej granicami. Śpiewał w Krakowie oraz w wielu stolicach Europy i innych miejscach. Nagrywał pieśni dla Radia Watykańskiego, Telewizji Trwam, telewizji węgierskiej. Współpracował z różnymi orkiestrami, zespołami i muzykami.

W dniu 12 – 15 września 2013 roku przebywał na obchodach Wiktorii Wiedeńskiej. Choć główna uroczystość rocznicowa odbyła się na Kahlenbergu 8 września, to jednak z tej okazji przybywali tam pielgrzymi i turyści przez następne dni.

Trasa wędrowki była bardzo ciekawa. 12 września w czwartek, po porannej Mszy sprawowanej w Bazylice Matki Boskiej Bolesnej, autokarem wyruszyliśmy w drogę. Pierwszym miejscem koncertu był Kromieryż (Kroměříž) na Morawach. To przez Morawy szło wojsko Sobieskiego pod Wiedeń. Kromieryż jest centrum kultury duchowej i sztuki w tym regionie. Tutaj arcybiskupi ołomunieccy wzniesli przepiękny pałac, przy którym urządzono potężne ogrody. Pałac wpisany jest na listę dziedzictwa kulturowego UNESCO. Po zwiedzeniu ogrodów, chórzyści zobaczyli salę z niezliczoną ilością

myśliwskich trofeów i inne pomieszczenia oraz bogata w zbiory bibliotekę. Zwidzili także barokowy kościół św. Jana Chrzciciela oraz gotycki kościół św. Maurycego. W mieście jest gimnazjum, którego patronem jest Polak – św. Stanisław Kostka. Miejscem koncertu natomiast był kościół Wniebowzięcia Maryi Panny. Kościół pochodzi z wczesnego średniowiecza, ale został przebudowany w okresie baroku. Dzisiejszy wygląd nadano mu w latach 1724–1736. Koncert był po południu. W przygotowaniu zaangażowały się władze miasta oraz bardzo życzliwie podejmujący nas proboszcz ks. Wit.

W programie były pieśni maryjne i pasyjne wykonane w języku polskim i łacińskim. Konferansjerem był towarzyszący chórzystom ich opiekun duchowy. O występach chóru informowały plakaty rozmieszczone w różnych częściach miasta. Przyjęcie chóru było bardzo serdeczne, a aplauz tak wielki, że chórzyci kilkakrotnie zmuszeni byli do bisowania.

Następnym etapem wędrowki było narodowe sanktuarium maryjne Austrii w Mariazell. Kościół tamtejszy początkami swymi sięga XII w. Rozsławił go w XIV w. król Ludwik I Węgierski (ojciec św. Jądwigi, królowej Polski), który na pamiątkę zwycięstwa nad Turkami ufundował specjalną kaplicę dla słynącej figury Matki Bożej z Dzieciątkiem. Czczona tu Maryja nazwana jest Wielką Matką Austrii.



Koncert w Mariazell.

W tym zabytkowym, monumentalnym kościele pochowano w 1975 r. niezłomnego prymasa Węgier kardynała Józefa Mindszentego (Pehma) więzionego w czasach komunizmu za odmowę współpracy z reżimem. W 1991 jego zwłoki przeniesiono na Węgry. Choć planowany był w Mariaszell śpiew chóru w czasie Mszy św. o godz. 11<sup>00</sup>, z powodu opóźnienia w czasie, występ odbył się po jej zakończeniu. Mimo tego, pięknych maryjnych i patriotycznych polsko-łacińskich śpiewów, słuchało bardzo wielu pielgrzymów i turystów. Przybyli nawet limanowianie pracujący w Austrii. Zwiedzenie świątyni i modlitwa oraz wspólne zdjęcie zakończyły pobyt chóru w uroczych Alpach, skąd udaliśmy się zwiedzić Opactwo Benedyktynów w Melk nad Dunajem. Miasto leży 60 km na zachód od Wiednia. W XI wieku Leopold II zaprosił do Melk benedyktynów i oddał im do dyspozycji zamek wraz z posiadłościami. Zamek przemieniono na ufortyfikowane opactwo. W Melk zwiedziliśmy muzeum, potężną salą marmurową z malowidłami Gaetona Fantiego i Paula Trogera, liczącą prawie 100 tys woluminów bibliotekę i kościół świętego Piotra i Pawła oraz ogrody. Mimo, że nie był tu planowany występ, chórzysci zaśpiewali w bardzo akustycznej sali marmurowej oraz w kościele. Tu od razu zgromadziła się liczna grupa wdzięcznych słuchaczy.

Centralnym dniem podróży był pobyt w Wiedniu. Tu z miejscowym przewodnikiem chórzysci zwiedzili Rynek, Stare Miasto z ulicami: Kartner, Graben, katedrę św. Stefana, pałac cesarski Hofburg oraz bogate zbiory w Muzeum Historii Naturalnej. O godzinie 19 w polskim kościele pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego ubogacił chór liturgię Mszy, a potem był występ dla licznie zgromadzonych tam Polaków. Dobrze się złożyło, bo w tym dniu obchodzono tam odpust (14 września). Rozbrzmiewały więc pieśni polskie i łacińskie ku czci Chrystusa i Maryi oraz pieśni patriotyczne. Był przywołany Juliusz Słowacki, Kornel Ujejski, bp Józef Zawitkowski, Julian Tuwim i inni autorzy tekstów i muzyki. Ze wzruszeniem i łzą w oku wielu słuchało tych śpiewów, wyrażając uznanie i podziw dla chórzystów. Była modlitwa śpiewających i słuchających. Wspólny śpiew pieśni: *W krzyżu cierpienie, w krzyżu zbawienie i Wszystkie nasze dzienne sprawy* oraz błogo-



Chór Chłopięcy Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. W tle Pałac Schönbrunn.

ślawieństwo zakończyło to niezwykle spotkanie. Kościół na Rennwegu, w którym od dziesiątków lat pełnią opiekę duszpasterską Księża Zmartwychwstańcy obchodzi w tym roku 250 lat istnienia.

Ostatnim dniem i głównym celem wyjazdu był śpiew na Kahlenbergu w niedzielę 15 września. W duchowej łączności z Limanową, gdzie wtedy rozpoczął się Wielki Odpust Maryjny, we wczesnych godzinach rannych, chórzysci i ich opiekunowie stanęli na Kahlenbergu. Na wzgórzu było jeszcze pusto, ale przy słonecznej pogodzie rozpościerał się stąd czarujący widok na liczący prawie dwa miliony mieszkańców Wiedeń. Wnet jednak zaczęli przybywać na górę turyści i pielgrzymi. Głównie Polacy. W kaplicy poświęconej Sobieskiemu chórzysci przygotowali się do udziału we Mszy i do koncertu. Bardzo ciepło przyjął nas niedawno mianowany rektor kościoła ks. Roman Krekora – Zmartwychwstańiec. Msza św. była o godzinie 10. Przybyło na nią wiele osób indywidualnych, pracujący w Wiedniu Polacy, a także siedem pielgrzymek z Polski wraz z kapłanami, którzy włączyli się w koncelebrę. Cały kościół zappełnił się wiernymi Polakami. Mszy przewodniczył i Słowo Boże wygłosił ks. Stanisław Wojcieszak. Mówił o osobie Sobieskiego: kim był jako człowiek, ojciec rodziny, katolik i Polak. Mówił także o tym, czym była i jest Wiktoria Wiedeńska i jak bardzo dziś jej potrzeba w naszym życiu indywidualnym, narodowym, religijnym. Liturgię wzbogacił chór, który po Mszy zaśpiewał jeszcze kilka pieśni religijnych i patriotycznych. Nastrój był podniosły i wzruszający. Sprawily to teksty pieśni i ich muzyczna interpretacja.

Jak żywe i aktualne dziś zabrzmiały słowa: *Nie opuszczaj nas, Matko nie opuszczaj nas* (melodia z XIX w.), *Ojczyzną moją jest Bóg* – Juliana Tuwima, czy: *Bogarodzico Dziewico – Niech nam nie bluźni wróg, ni wiary naszej tknie* – Juliusza Słowackiego oraz inne. Brawa i wiele ciepłych słów były odpowiedzią na śpiew. Zaś ks. rektor Jerzy porównał dzielność śpiewających chłopców do godnych następców husarii Sobieskiego. *Boże coś Polskę* oraz *Maryjo, Królowo Polski* zakończyły pobyt Chłopięcego Chóru Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej z Limanowej na Kahlenbergu w 330. rocznicę Wiktorii Wiedeńskiej.

W drodze powrotnej było jeszcze zwiedzenie rezydencji cesarskiej Schönbrunn i przez Słowację powrót do Limanowej.

Koncertowało 30 chłopców przy akompaniamencie Edyty Lachor – Mitkowskiej. Na skrzypcach grały Renata Biernat i Dorota Dyczek. Dyrygowała Halina Dyczek. W wyprawie brali też udział przedstawiciele zarządu chóru (Kazimiera Wrona i Adam Mazuga) i opiekunowie chłopców. Opiekę duszpasterską sprawował ks. Stanisław Wojcieszak. Koszty przedsięwzięcia zostały pokryte z funduszy Województwa Małopolskiego.

Występy chórzystów były wyrazem ich wiary, miłości do Boga i Ojczyzny, a wyjazd pozostawi zapewne trwałe ślady w ich pamięci oraz u tych, którzy ich słuchali. Po 330 latach znów zabrzmiały słowa Jana III Sobieskiego: *Venimus, vidimus et Deus vicit.*

Fotografie: arch. Chóru

# Uchronić od zapomnienia



Tablica pamiątkowa z okazji 10-lecia matury (1946 r.) klasy matematyczno-fizycznej Liceum w Limanowej.

**Nauczyciele (u góry, od lewej):** J. Teodorowicz, Anna Orzechowska, Anna Sidorowicz, Wilhelm Tabor, ks. Władysław Ryś, Antoni Bieda, wizytator ??, Józef Bednarz, Eugenia Naturska, Stefania Tokaryk, Maria Poško, Stanisław Odziomek. **Poniżej:** Władysław Wietrzny, Szczepan Gajewski, Władysław Sułkowski. **Uczniowie (od lewej):** Jerzy Trzeciak, Jan Kądziołka, Adam Salamon, Jan Sarad, Franciszek Biernat, Teresa Przetocka, Krystyna Bączkowska, Barbara Kasprzyk, Kazimierz Czaja, Józef Jeż, Piotr Łaskuda, Jacek Odziomek, Tadeusz Arnold.

*Spotykamy wielu ludzi na swojej drodze. Może to przypadek, może przeznaczenie... Tak czy inaczej na określony czas łączą nas bezpośrednio przeżycia, później wspomnienia. Jak je określić, jak nazwać? Pozostaje więc reszta zamknąć w sercu pamiątki.*

W wydany w 1995 r. biuletynie z okazji 50-lecia Liceum Ogólnokształcącego tę myśl wyraziła Pani Jadwiga Kowalczyk, niekwestionowany autorytet w dziejach limanowskiego liceum. Uczyła języka polskiego od 1959 r. Przez 36 lat pracy w tej limanowskiej skarbnicy wiedzy, kształtowała charaktery, uczyła i wychowywała trzy pokolenia limanowian. Zmarła 8 października 2006 r.

Jej głęboka myśl, wypowiedziana z racji Jubileuszu półwiecza tej zasłużonej dla Ziemi Limanowskiej placówki

oświatowej, stała się inspiracją do powrotu pamięcią do lat 40. XX w., kiedy tworzone były pierwsze w dziejach Limanowej szkoły średnie. Właśnie w tych szkołach uczyło wielu wspaniałych nauczycieli, o których w niejednym artykule, również i w „Echu Limanowskim”, napisano wiele ciepłych słów i ciekawych wspomnień, a także humorystycznych epizodów z życia szkolnej społeczności.

Niektóre z nich przypomina Zofia Wiśniewska (Wójtowicz) absolwentka Liceum – matura 1951 r.

Okres okupacji jednym przerwał naukę, innym nie pozwolił na jej rozpoczęcie. Wielu z nich kontynuowało naukę w gimnazjum na tajnych kompletach. Po zakończeniu II wojny światowej przyszli do nowo utworzonych szkół średnich w Limanowej z różnym bagażem własnej historii. Różnica wiekowa między „uczniami” była znaczna, byli i tacy którzy zdawali maturę jako żonaci mężczyźni, ale każdy z nich pragnął jak najszybciej nadrobić stracony czas. Mury tych szkół opuściło dziesiątki wybitnych wychowanków. Oni po wojnie tworzyli nową rzeczywistość w naszym środowisku i kraju. Nieubłagany bieg czasu zaciera w pamięci przeszłość związaną z wydarzeniami,



które miały miejsce w tych szkołach. Gu-bimy wspomnienia z przeżyciami ludzi związanych z tymi placówkami edukacyjnymi, szczególnie z pierwszych latach ich istnienia.

Opracowując „historię obrazem pi-saną”, czyli trzy tomy albumów archi-walnej fotografii o Limanowej „Okруchy pamięci”, autorzy starali się zachować jak największą ilość zdjęć dotyczących historii tychże szkół. Brak miejsca w al-bumach, a także późniejsze odkrycie wie-lu ciekawych fotografii ukazujących barwne zdarzenia, które miały miejsce w historii tych szkół nie pozwoliły wówczas na prezentację wszystkich.

Pragnąc uchronić od zapomnienia niektóre z wydarzeń, jakie miały miejsce w tamtych latach, prezentujemy Czytel-nikom „Echa” fotografie, które ukazują jeden z epizodów w życiu uczniów, ale jakże istotny w dziejach tych szkół. Był to pochód maturzystów – abiturientów Li-ceum Pedagogicznego, uczniów pierwszej po II wojnie światowej matury oraz uczniów Liceum, klasy matematyczno-fizycznej, drugiej matury po wojnie, który odbył się 22 czerwca 1946 roku.

Pochód młodzieży połączony był z przemarszem maturzystów z limanow-skiego kościoła, gdzie ks. Władysław Ryś, szkolny katecheta, odprawił dla nich Mszę św., po której udali się oni na eg-zamin maturalny do budynku szkoły mieszczącej się w dawnych rafineryj-nych blokach w Sowlinach.

Dziś możemy zaprezentować repor-taż z tego wydarzenia dzięki nieznanemu fotoreporterowi, który zarejestrował bar-wny pochód na ulicy Krakowskiej „pod ko-leją”, obecnie ulica Piłsudskiego. Na cze-le kolumny kroczy orkiestra prowadzona przez Mieczysława Mordarskiego (junio-ra), za nim młodszy brat Ludwik. Z ele-mentami dekoracyjnymi idą maturzyści z Liceum Pedagogicznego, od prawej: *Jan Seruga*, *Mieczysław Jasica* i *Mieczysław Kaleta*, który niesie tablicę z napi-sem: „1 Mat. Lic. Ped.; 22 czerwca 46; Lic. Mat.-Fiz”, obok *Adam Wojs*. Za nimi w pojedynczym rzędzie podążają koleżanki z Liceum Pedagogicznego (fot. 3 i 4 s. 29), *Maria Ceglarz*, *Jadwiga Sułkow-ska*, *Halina Skoczeń*, *Janina Kulińska*, *Wanda Mikula*, *Zofia Krzan*, *Barbara Szwabe*, *Mieczysława Mikula*, *Władysław Tomasiak*, *Halina Bieda*, *Maria Merlet*, *Maria Jasica*, *Irena Jarońska*, *Krystyna Najwer*. Wychowawcą tej



Przed budynkiem szkoły w Sowlinach. Klasa mat.-fiz. Liceum i Liceum Pedagogicznego - matura 1946 r. Od lewej: Tadeusz Arnold, Kazimierz Czaja, Krystyna Bączkowska, Adam Wojs, Maria Merlet, Halina Bieda, Krystyna Najwer, Maria Jasica, prof. Józef Bednarz, ??, ??, Mieczysława Mikula, Janina Kulińska, Mieczysław Kaleta, Barbara Szwabe, Halina Skoczeń, Wanda Mikula, Jerzy Trzeciak, ??, Józef Jez, ??, Adam Salamon, Władysław Lechowicz, Jan Seruga, siedzi Jacek Odziomek.

pierwszej klasy Liceum Pedagogicznego był Stefan Bieda, nauczyciel pedagogiki. Za grupą dziewczyn trójkami maszerują absolwenci Liceum – klasy matematyczno-fizycznej (fot. 4, s. 29) od prawej: *Krystyna Bączkowska*, *Teresa Przetocka*, *Barbara Kasprzyk* i dalej chłopcy. Ich wychowawcą był prof. Józef Bednarz, nauczyciel matematyki i fizyki.

Dzięki pomocy p. Marii Krasuń (Ka-zimierzczak) – matura 1949 r. (LP), p. Adama Wojsa – matura 1946 r. (LP), zostały rozpoznane wszystkie maturzystki z Liceum Pedagogicznego oraz wielu maturzystów zarówno z Liceum Pedagogicznego jak i Liceum. Opis chłopców znajduje się pod fotografiami, można ich także rozpoznać na pamiątkowej fotografii wykonanej w 1956 roku z okazji zjaz-du koleżeńskiegо dziesięciolecia matury.

Po zdaniu matury losy ich były róż-ne. Przedstawiamy (alfabetycznie) uczniów, którzy w roku 1946 przystąpili do matury. Równocześnie prezentujemy ich dalsze koleje życia oraz krótką bio-grafię, na ile udało się zdobyć informacji dzięki pomocy: p. Kazimierza Czaji – ma-tura 1946 r. (Liceum), p. Zofii Szumilas – matura 1952 r. (LP) oraz p. Józefa Jeża – matura 1946 r. (Liceum).

Liceum Pedagogiczne: **Halina Bie-da** (*Ochęduszek*) – córka Antoniego Bie-dy, dyrektora pierwszych szkół średnich w Limanowej po II wojnie światowej. Pisarka, autorka wielu książek m. in. poświęco-nych Limanowej: *Wyspy Szczęśliwe*. Dziennikarka pracująca w Opolu; **Tade-usz Budacz** – pedagog, późniejszy dzia-łacz ZNP. W okresie II wojny światowej żołnierz AK –pseud. „Tygrys”; **Maria Ceglarz** (*Kłuba*) – córka Stanisława Ceglarza przedwojennego kierownika szkoły powszechnej w Limanowej, organizatora tajnego nauczania w czasie okupacji hitlerowskiej; **Irena Jarońska** (*Oleś*) – żona Andrzeja Olesia, lekarza który m. in. pra-cował w krajach tropikalnych przy zwalczaniu epidemii ospy prawdziwej. Andrzej Oleś był jedynym synem Stanisławy i Władysława Olesiów, znanej rodziny nauczy-cielskiej. Jego ojciec był wieloletnim dyrek-torem Szkoły Zawodowej „Metalowi” w Limanowej; **Maria Jasica** (*Popiołek*) – siostra Józefa Jasicy znanego stomatolo-ga w Limanowej. Wyszła za mąż za Ma-riana Popiołka, żołnierza AK pochodzące-go z Katowic, gdzie wyjechali po wojnie. Jej syn jest profesorem Politechniki Śląskiej w dziedzinie ochrony środowiska; **Mieczysław Jasica** – z Mordarki (Sarczyna), żoł-



Pochód młodzieży na ul. Krakowskiej „Pod koleją”. Na czele orkiestra prowadzona przez Mieczysława Mordarskiego (juniora).



Za orkiestrą idą od lewej: Roman Łoziński, Tadeusz Budacz, Mieczysław Kaleta (niesie transparent z napisami), Mieczysław Jasica (niesie symboliczną ławkę), Jan Seruga (niesie transparent z tablicą), Adam Wojs (w okularach), obok Jadwiga Sułkowska.

► nierz AK. Po maturze ukończył prawo w Krakowie. Przez wiele lat pracował jako prawnik w Katowicach; **Zofia Krzan** - ze Szczyrzyca. Spokrewniona z rodziną Studenckich z Limanowej. Po maturze wyjechała do Żywca; **Mieczysław Kaleta** – z Sowlin, ukończył Akademię Handlową w Krakowie; **Janina Kulińska (Buczyńska)** – córka komendanta policji w Samborze, który został zamordowany w Katyniu. Matka wraz z Janiną i dwoma młodszymi synami, wydostała się przez zieloną granicę, forsując wpływ San i zamieszkała w Sandomierzu w Generalnej Guberni. Stamtąd Janinę zabrał kuzyn Stanisław Krasuń, ówczesny sędzia Sądu Grodzkiego w Limanowej. Po wyjściu za mąż za Stanisława Buczyńskiego wyjechała do Warszawy, gdzie mąż był pracownikiem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; **Władysław Lechowicz** – z Limanowej. Był nauczycielem w Szczawie, następnie w Starej Wsi – Roli. Ukończył biologię z chemią na Uniwersytecie Łódzkim. Na początku lat 60-tych przeniósł się do Słubic, gdzie pełnił funkcję dyrektora szkoły, następnie inspektora szkolnego. W zawodzie nauczycielskim przepracował 40 lat.; **Maria Merlet** – po II wojnie światowej pracowała w świetlicy środowiskowej, którą prowadziła Stefania Borzemska; **Mieczysława Mikula** i **Wanda Mikula** – córki Franciszka Mikuli, w latach międzywojennych był właścicielem restauracji, która mieściła się przy obecnej ul. Józefa Marka; **Krystyna Najwer** – córka nauczycielki Szkoły Powszechnej w Limanowej, która była pionierką bibliotekarstwa po II wojnie światowej na Ziemi Limanowskiej; **Jan Seruga** – z Sowlin; **Halina Skoczeń** – córka Marii i Franciszka Skoczeń, nauczycieli Szkoły Powszechnej w Sowlinach. Ojciec był kierownikiem tej szkoły w latach 1920 - 48; **Jadwiga Suł-**

**kowska (Puchala)** z Sowlin. Była wieloletnim pracownikiem w Zakładach Przetwórstwa Owocowego w Tymbarku – specjalistka do spraw produkcji; **Barbara Szwabe (Rogozińska)** – pochodziła z Kisielówki, pracowała przez wiele lat w szkole w Tymbarku. Była spokrewniona z inż. Józefem Markiem, posłem na sejm w latach pięćdziesiątych XX w. i znanym sadownikiem na Ziemi Limanowskiej; **Władysława Tomasiak (Kozdrui)** - żona Mieczysława Kozdrunia, trenera kadry Narodowej skoczków narciarskich w latach 1950–1967. W okresie międzywojennym był inicjatorem budowy skoczni narciarskiej w Limanowej; **Adam Wojs** – były żołnierz AK pseud. „Jędrus”, sekretarz Koła Miejskiego PSL w Limanowej. Po II wojnie światowej nauczyciel –pierwszy dyrektor Zasadniczej Szkoły Budowlanej w Limanowej. Autor wielu opracowań historycznych o Limanowej, m.in. *Ziemia Limanowska*, wydanej w 1963 roku, pierwszej po II wojnie światowej monografii o Limanowej.

Liceum – klasa matematyczno – fizyczna: **Tadeusz Arnold** – rodzina jego przybyła jeszcze przed II wojną światową do Limanowej ze Stryja, miasta znajdującego się w latach międzywojennych w obwodzie lwowskim (dziś Ukraina). Jego ojciec w Limanowej był urzędnikiem skarbowym. Tadeusz ukończył AGH w Krakowie i wyjechał do Austrii; **Krystyna Bączkowska (Cynke)** – farmaceutka, ostatnia z pięciopokoleniowej rodziny limanowskich aptekarzy. Jej matka Klementyna pozostawiła bogaty zbiór fotografii przedstawiających Limanową z początku XX wieku, pośród których znajdują się zdjęcia dokumentujące budowę limanowskiego kościoła; **Franciszek Biernat** z Mordarki, późniejszy nauczyciel matematyki i śpiewu w Szkole Po-

wszechnej w Mordarce; **Kazimierz Czaja** – z Mordarki, żołnierz AK. Późniejszy inżynier mechanik, ukończył AGH w Krakowie. Zajmował kierownicze stanowiska w polskim przemyśle ciężkim. Pracował w Hucie im. Lenina (20 lat), w Hucie im. Bieruta (do 1974 r.), w Hucie Katowice (do 1982 r.). Obecnie mieszka w Sławkowie; **Józef Jeż** – ukończył stomatologię w Poznaniu. W latach pięćdziesiątych przez pewien okres czasu był lekarzem w Ministerstwie Obrony Narodowej. W zawodzie tym przepracował 40 lat. Obecnie mieszka w Poznaniu. Jest bratem ojca Andrzeja Jeża – Biskupa Tarnowskiego; **Barbara Kasprzyk (Czaja)** – córka lekarza, dyrektora szpitala w Podhajcach w obwodzie tarnopolskim (dziś Ukraina). Wraz z całą rodziną była więziona w Kazachstanie. Po ucieczce przybyła do Limanowej, gdzie jej siostra Zofia Kasprzyk (Taraska) była dyrektorem Szkoły Rolniczej, której siedzibą po II wojnie był dwór Marsów. Szkoła później została przeniesiona do Mszany Dolnej. Była pierwszą żoną Kazimierza Czaji, kolegi z klasy; **Jan Kądziołka** – z Mordarki (Podjabłońca). Ukończył Politechnikę Wrocławską. Jako inżynier pracował w Warszawie i Łodzi; **Piotr Łaskuda** – z Jurkowa. Ukończył studia weterynaryjne na Akademii Rolniczej we Wrocławiu i przez wiele lat pracował na Dolnym Śląsku; **Jacek Odziomek** – syn Stanisława Odziomka, kierownika Szkoły Powszechnej w Łososinie Górnej w latach 1928–1969, a także żołnierza Legionów. Jacek ukończył biologię i był wieloletnim nauczycielem tego przedmiotu w Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej; **Teresa Przetocka** – córka inż. Mariana Przetockiego (w czasie okupacji był projektantem regulacji potoku Mordarka) i Krystyny z Marsów Przetockiej. Jej siostra, Anna Si-



Uczniowie Liceum Pedagogicznego. Od lewej: Maria Ceglaz Adam Wojs. Za nimi kolejno: Jadwiga Sułkowska, Halina Skoczeń, Janina Kulińska, Wanda Mikula, Zofia Krzan, Barbara Szwabe, Mieczysława Mikula, Władysława Tomasik, Halina Bieda (w pelerynie).



Od lewej: Mieczysława Mikula, Władysława Tomasik, Halina Bieda, Maria Merlet, Maria Jasica, Irena Jarońska, Krystyna Najwer. Uczniowie Liceum (od prawej): Krystyna Bączkowska, Teresa Przetocka, Barbara Kasprzyk oraz uczniowie (patrz tableau).

dorowicz była nauczycielką języka francuskiego w Liceum w Limanowej. Teresa ukończyła filologię romańską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zmarła w młodym wieku i jest pochowana w grobowcu obok kaplicy Marsów w Limanowej; **Adam Salamon** – były żołnierz Narodowych Sił

Zbrojnych (NSZ) z rejonu Gór Świętokrzyskich. Późniejszy inżynier architekt. Pracownik naukowy na Politechnice Gdańskiej i Politechnice Warszawskiej; **Jan Sarad** – ukończył AGH – wydział elektryczny, pracował przez wiele lat w Hucie im Lenina. Ożenił się z Marią Rzepkówną, córką Sta-

niśława Rzepki - majstra w sowlińskiej rafinerii. Był szwagrem inżyniera Ferdynanda Kuczyńskiego, wieloletniego dyrektora Nadleśnictwa w Limanowej; **Jerzy Trzeciak** – był związany z rodziną Marsów, limanowskich ziemian. Przybył do Limanowej z Lwowa. Po maturze ukończył Politechnikę w Gdańsku.

Zofia Wiśniewska

# Pierwsze powojenne matury

Zorganizowanie szkoły średniej w Limanowej w kilka dni po opuszczeniu jej przez wojska faszystowskie było wielkim wydarzeniem w historii miasta. Teraz już nie trzeba było szukać szkół średnich kończących naukę egzaminem maturalnym w innych miejscowościach, jak to było w latach międzywojennych. Limanowa miała swe własne. Było to Liceum i Liceum Pedagogiczne pod zarządzaniem jednego dyrektora Antoniego Biedy. Nic więc dziwnego, że do tej szkoły ruszyła „masa” młodzieży młodszej i tej nieco już przerośniętej.

Prawdziwym wydarzeniem były pierwsze matury. Wszyscy mieszkańcy miasta bardzo je przeżywali. Naturalnie najbardziej maturzyści i ich rodzice, ale interesowali się nimi także ci, którzy nawet nie mieli dzieci w szkole średniej. Było to w życiu naszego miasta nowe wydarzenie. Zaczynała się w nim historia szkolnictwa średniego otwierającego drogę do studiów.

Przygotowania do matury zaczynały się znacznie wcześniej. Tak pedagogi, jak uczniowie zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że zasób wiedzy przyszłych absolwentów jest ograniczony i po-

wierzchny. Wynikało to z przyspieszonego trybu nauki, z konieczności okrojonych programów i prawie zupełnego braku podręczników. Młodzież musiała opłacać podstawową wiedzę z notatek zapisanych w zeszytach. Tylko szczęśliwcy posiadali przedwojenne podręczniki, a „cudem wypożyczone” lektury czytano w grupach 10–12 osobowych. W tej sytuacji było zupełnie zrozumiałe, że matury obawiali się w równym stopniu uczniowie i ich nauczyciele.

Przyszli absolwenci musieli, oprócz wiedzy, zadbać także o „godziwy przyodziewek”, o co w tamtych siermiężnych czasach nie było łatwo. Dziewczeta przystępowały do matury w czarnych sukienkach (często pożyczanych), chłopcy w granatowych garniturach, ale z tymi było już gorzej. Dopiero w parę lat później uczennice występowały w plisowanych granatowych spódnicach i białych bluzkach, uczniowie w ciemnych garniturach.

Przed maturą o godz. 6<sup>30</sup> odbywała się w kościele parafialnym w Limanowej Msza odprawiana przez ks. prof. Władysława Rysia, który zaraz po niej „dosiadał” swojej SHL-ki, a przyszli absolwenci w pochodzie wyruszyli do Sow-

lin. Pochód poprzedzała orkiestra p. Mieczysława Mordarskiego. Niesiono transparent z odpowiednim hasłem, a przyszli pedagodzy „dźwigali niewielką ławkę szkolną do tego celu wykonaną w zakładzie stolarskim p. Szewczyka (później Szumilasa). W ławce siedziała uczennica – duża lalka – szmacianka ubrana w granatową, plisowaną spódniczkę i białą bluzkę z granatowym kołnierzem obszytym białymi tasiemkami. Ubranko dla lalki uszyła krawcowa nazywana „Józkową”.

„Matematycy” nieśli przyrządy geometryczne. Aby zobaczyć przemarsz maturzystów mieszkańcy miasta ustawiali się w grupach wzdłuż ulicy Krakowskiej prowadzącej do liceum, a dzieci biegly za pochodem. Po przyjeździe przed budynek szkolny pochód rozwiązywał się. Matury w zależności od liczebności klas odbywały się w sali gimnastycznej, świetlicy lub pracowni fizycznej.

Początkowo Kuratorium Oświaty i Wychowania w Krakowie wysyłało do Limanowej zawsze swego wizytatora. Być może powodem było to, że liceum nie miało jeszcze tradycji, a może z zupełnie innych powodów?



Klasa mat.-fiz. Liceum. Siedzą w pierwszym rzędzie (od lewej): Piotr Łaskuda, Franciszek Biernat, Jan Kądziołka. W drugim rzędzie: Teresa Przetocka, Krystyna Bączkowska, Jacek Odziomek (w okularach). W ostatnim rzędzie: Kazimierz Czaja (stoi), Józef Jez, Jan Sarat, Adam Salomom (stoi). Niewidoczni na zdjęciu: Jerzy Trzeciak i Tadeusz Arnold. Brak Barbary Kasprzyk.



Przed budynkiem szkoły w Sowlinach na wraku czołgu siedzą uczniowie Liceum.

Przez dwa lata przy egzaminach maturalnych „asystował” postrach uczniów – wizytator Szediwy, który „ulubił” sobie nasze miasto, choć dojazd z Krakowa był dosyć kłopotliwy. Trzeba było wyjechać z Krakowa o północy z przesiadką w Chabówce, ale za to „było się” w Limanowej o 6<sup>30</sup>. Mały półgodzinny spacer pozwolił pozbyć się resztek snu i przydreptać do szkoły w Sowlinach na godzinę przed czasem. Na szczęście wizytator uczestniczył tylko w egzaminach ustnych. „Kochał” oblewać uczniów i zadawać im kłopotliwe, ideologiczne pytania. Bali się go uczniowie i pedagodzy, oprócz p. prof. Józefa Bednarza, który był odporny na tego człowieka, a kojąco działał na uczniów.

Profesor Bednarz, gdy uczestniczył w Komisji jako jej członek, siadał zwykle za wizytatorem i gdy ten uważał za stosowne wtrącać się do każdej wypowiedzi ucznia, pomagał, jak tylko potrafił, by delikwent wybrnął z sytuacji wytworzonej przez pana „władzę”. Były to bezgłośne podpowiedzi, mimika i odpowiednie znaki z łatwością odczytywane przez uczniów. Wielu uczniów uratował przed „kłęską”. Zresztą już sama obecność profesora działała kojąco.

W drugiej z kolei maturze (1946 r.) miało miejsce takie wydarzenie. Zdawali egzamin ustny z fizyki uczniowie klasy matematyczno-fizycznej. Jeden z nich bał się bardzo pytań z optyki, bo ze względu na brak podręcznika niezbyt dobrze ją opanował. Gdy wyciągnął pytania, na

które był dobrze przygotowany, niepotrzebnie półgłosem powiedział: *Jestem uratowany, to nie jest optyka*. Był to doniosły w skutkach błąd, bo wizytator miał dobre uszy. Kiedy uczeń odpowiedział bez zarzutu na wylosowane pytania, nagle „pan władza” zadał mu dodatkowe pytanie z optyki. Absolwent zbladł, ale na szczęście zdołał udzielić poprawnej odpowiedzi. Następnie w sukurs przyszedł mu p. prof. Bednarz mówiąc: *Już ci dziękujemy. Chciałeś z nas zażartować i celowo „naciągnąć” na pytania z optyki. Widzimy, że jesteś przygotowany*. W tej sytuacji wizytator już nie zadał kolejnego pytania. Na szczęście był to ostatni pobyt srogiego wizytatora w limanowskim liceum. Potem przyjeżdżali inni i matura „znormalniała”. Wspominano także o innym wydarzeniu. Było to także w drugim roku składania matur. Niemal do samego końca nie było wiadomo, jaki będzie drugi przedmiot pisemny. Spodziewano się, że władze odgórnie wybiorą historię, ale decyzja była inna. Wybór padł na „język”. Limanowscy abiturienti uczyli się j. francuskiego niecałe dwa lata. Zasób ich wiadomości był mizerny. Dlatego „blady strach” padł na uczniów. Jedyna nadzieja to zorganizowanie wiadomej, nielegalnej pomocy. Z grona pedagogicznego można było liczyć na dwie osoby doskonale znające ten język – ks. prof. Władysława Rysia i prof. Eugenię Naturską. Obydwoje wyrazili zgodę, bo braki w opanowaniu języka nie wynikały z winy uczniów, lecz

okoliczności i wojennej przerwy. Zanim doszło do tego „karalnego wykroczenia” przeprowadzono rozmowę z dorosłymi już przecież uczniami, którzy złożyli słowo honoru, że dopóki będą pracować zawodowo, nigdy o tym nie opowiedzą. Rzeczywiście dopiero w latach 90-tych ubiegłego wieku wspomnieli o tym wydarzeniu jeden z „pomocników”, ale sprawa się dawno przedawniła.

Oddzielną sprawą było tableau – fotograficzna pamiątka z życiowego wydarzenia. Tak się przyjęło, że zamawiano je zawsze w zakładzie fotograficznym p. Janowskiego w Sowlinach. Początkowo był taki zwyczaj, że dziewczęta robiły sobie fotki w tej samej białej bluzce z marynarskim kołnierzem. Było to śmieszne, bo dla jednych część garderoby była za wąska, dla innych za szeroka i trzeba było ją spinać agrafkami. Potem każdy przynosił swoje zdjęcie wykonane w wybranym przez siebie zakładzie.

W późniejszych latach matury stały się wydarzeniem szkolnym i absolwentów. Były ważne dla tych, którzy do nich przystępowali.

O tamtych pierwszych, powojennych maturach pozostały mgliste już dzisiaj wspomnienia, które warto zatrzymać w kadrze.

**Fotografie: arch. „EL”**



# Odślonięto pomnik Narcyza Wiatra



Władysław Frączek składa wieniec pod pomnikiem Narcyza Wiatra.

W dniu Święta Niepodległości na Starym Cmentarzu w Nowym Sączu odsłonięto pomnik płk. Narcyza Wiatra, ps. Zawojna, upamiętniający czyn zbrojny Batalionów Chłopskich na Sądeckczyźnie podczas II wojny światowej.

Na centralnym kamieniu widnieje relief pułkownika, a po bokach tablice granitowe z wrytą historią BCh i tekstem roty przysięgi partyzanckiej, której wstępne słowa brzmią: *W obliczu wiekuiłości minionych pokoleń ojców i praojców, w obliczu nieśmiertelnego ducha Ojczyzny mojej Polski w obliczu zakutego w kajdany niewoli narodu polskiego – postanawiam i ślubuję w swym sumieniu człowieczym i obywatelskim, że w każdym miejscu we wszystkich okolicznościach walczyć będę z najeźdźcą o przywrócenie całkowitej wolności narodu polskiego i niepodległości państwa Polskiego (...)*

Betonową podstawę i ścieżkę prowadzącą do pomnika wyłożono granitem. Inicjatorem powstania pomnika był Stanisław Kołcz, zmarły 30 sierpnia 2013 r., prezes nowosądeckiego Związku Żołnierzy BCh. Autorem monumentu jest Sławomir Biernat, asystent na Wydziale Rzeźby krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Założenia architektoniczne opracował architekt Paweł Kurzeja, prace budowlane przeprowadziła firma Erbet. Pomnik powstał głównie z darów pieniężnych synów, wnuków i prawnuków byłych żołnierzy Batalionów Chłopskich z trzech powiatów ściśle ze sobą współpracujących w ruchu oporu: nowosądeckiego, limanowskiego i części powiatu gorlickiego.

Uroczystości upamiętniające postać Narcyza Wiatra rozpoczęły się Mszą św. w kościele św. Kazimierza w Nowym Sączu. Mszy przewodniczył ks. prałat Jan Piotrowski, kustosz bazyliki św. Małgorzaty. Po nabożeństwie w uroczystym przemarszu udano się na Stary Cmentarz. Głównymi ulicami miasta przeszły delegacje z pocztami sztandarowymi, którym towarzyszyli przedstawiciele sądeckich organizacji kombatanckich, społecznych, harcerze, strzelcy ze Związku Strzeleckiego oraz licznie przybyli mieszkańcy Stróż i Grybowa. Obecni byli parlamentarzyści i samorządowcy.

Odślonięcia pomnika dokonała Elżbieta Kołcz (wdowa po Stanisławie Kołczu) i wicewojewoda małopolski Andrzej Haręziak. Monument poświęcił ks. prałat Jan Siedlarz, proboszcz parafii św. Kazimierza. W asyście ks. Stanisława Betleja,

proboszcza parafii Stróże i ks. prałata Jana Piotrowskiego, proboszcza parafii św. Małgorzaty w Nowym Sączu.

Władysław Frączek, prezes sądeckiego oddziału Ogólnopolskiego Związku Żołnierzy Batalionów Chłopskich przypomniał historię tej formacji w powiecie nowosądeckim, limanowskim i gorlickim. Podkreślił m.in. iż: *Bataliony Chłopskie na tych terenach liczyły około pięciu tysięcy ludzi w dwunastu partyzanckich oddziałach. Przeprowadzili oni 185 większych akcji bojowych na 660 w całym południowym okręgu Polski.* Przedstawił także postać Narcyza Wiatra „Zawoję”, który urodził się 19 września 1907 r. w Stróżach Niżnych k/Grybowa w rodzinie chłopskiej. Ojciec Jego jako ludowiec był w owych czasach postępowym rolnikiem gospodarującym na 18 morgowym gospodarstwie. W atmosferze głęboko patriotycznej wyrastał Narcyz jako jeden z siedmiorga rodzeństwa. Był absolwentem prawa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, członkiem władz Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” i Stronnictwa Ludowego. Za zorganizowanie strajku chłopskiego w 1937 r. więziony w Berezie Kartuskiej. Uczestnik kampanii wrześniowej. W 1940 r. został komendantem Obwodu Batalionów Chłopskich w Nowym Sączu. Od 1941 do 1945 był komendantem Okręgu VI Batalionów Chłopskich na Małopolskę i Śląsk, zastępcą komendanta Okręgu Krakowskiego Armii Krajowej. Komendantem Straży Chłopskiej „Chłostrą”. Od stycznia poszukiwany przez Urząd Bezpieczeństwa. Zamordowany na krakowskich Plantach 21 kwietnia 1945 r. przez funkcjonariusza Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Myślenicach.

Jego pamięć została uczczona chwilą milczenia i zadumy przez blisko tysięczną rzeszę uczestników zgromadzonych przed pomnikiem, wśród których można było zauważyć starsze i młodsze osoby z białą – czerwoną opaską na rękawie z zielonymi literami B.Ch. synów, wnuków byłych żołnierzy tej formacji zbrojnej. Była obecna również młodzież z kwiatami i sztandarami ze szkół podstawowych, noszących imię Batalionów Chłopskich (Rogi i Wilczyńska) oraz imię Narcyza Wiatra (Gośtwica).

Pomnik pokryły wieńce i wiązanki kwiatów. Odbył się również koncert pieśni patriotycznych.

# IX Limanowska Gala Przedsiębiorczości

*Mamy tą wielką satysfakcję, my przedsiębiorcy i organizatorzy, że udało nam się wykreować wydarzenie, które bardzo dobrze wpisało się w kalendarz imprez powiatu limanowskiego. Posiadamy tym bardziej satysfakcję, że to wydarzenie staje się także wydarzeniem towarzyskim, że chcemy się spotykać, być tu i rozmawiać, a przede wszystkim podziękować za Waszą pracę, a najlepszych z Was nagrodzić.*

*Myślą przewodnią wszystkich naszych spotkań były i są dwa wyrazy: przedsiębiorca i przedsiębiorczy. Gdyby zapytać, co my rozumiemy pod pojęciem „dobry przedsiębiorca” to pewnie jak tu jesteśmy na sali, każdy podałby inną definicję. Osobiście wydaje mi się, iż najbardziej zbliżoną do prawdy jest definicja – dobry przedsiębiorca to człowiek, który bardzo dużo pracuje, musi mieć wiedzę i ciągle ją pogłębiać, a przede wszystkim, winna go cechować pasja, żarliwość w działaniu i takich przedsiębiorców ma Ziemia Limanowska. Ludzi mądrych, pracowitych, roztropnych, rozważnych, nie bojących się ryzyka, solidnie płacących podatki [...] – mówił na podsumowanie Stanisław Gałęga, prezes Regionalnego Stowarzyszenia Przedsiębiorców.*

Tegoroczna IX Limanowska Gala Przedsiębiorczości tradycyjnie odbyła się w Limanowskim Domu Kultury, gdzie 15 listopada spotkali się limanowscy przedsiębiorcy. Organizatorem był Powiat Limanowski wraz z Regionalnym Stowarzyszeniem Przedsiębiorców i Powiatowym Urzędem Pracy w Limanowej.

W tym roku honorowy patronat nad Galą objęli: *Janusz Piechociński* - wicepremier, minister gospodarki, *Stanisław Hodorowicz* - senator RP, *Marek Sowa* – marszałek województwa małopolskiego.

Głównym celem konkursu jest wspieranie przedsiębiorczości poprzez promocję firm osiągających najlepsze wyniki ekonomiczne z zachowaniem zasad etyki biznesu oraz osób, które swym działaniem szczególnie przyczyniają się do tworzenia sprzyjających warunków dla przedsiębiorczości jak i dla rozwoju lokalnej społeczności.

Konkurs rozstrzygany jest w kategoriach: „**Lider Biznesu Powiatu Limanowskiego**”, organizowany w podziale na trzy grupy wielkości przedsiębiorstwa: małe (zatrudniające mniej niż 10 pracowników), średnie (zatrudniające od 10 do 49 pracowników), duże (zatrudniające powyżej 49 pracowników), „**Inicjatywa Gospodarcza**”, „**Działalność charytatywna wśród lokalnej społeczności**”, a w tym roku po raz pierwszy przeprowadzony został dodatkowy konkurs w kategorii „**Pracodawca Roku**”.

Kapituła konkursowa: Tomasz Krupiński, Franciszek Dziedzina, Stanisław Gałęga, Józef Oleksy, Marek Młynarczyk, Anna Cuper, po wnikliwej analizie złożonych ankiet dokonała wyboru tegorocznych laureatów.

Nominacje w kategorii: „Małe przedsiębiorstwa” otrzymali: Firma Produkcyjno – Usługowo – Handlowa - *Krzysztofa Biedy*, F.U.P.H. GM Meble - *Grzegorza Muchy* z Walowej Góry, Foto – Reflex – *Pawła Rapacza* z Kasiny Wielkiej, P.P.H.U. „LYNX” – *Bogdana Rysia* z Dobrej i Gabinet Kosmetyczny „BELLA” – *Agaty Sroki* z Limanowej.

Liderem Biznesu w kategorii „Małe przedsiębiorstwo” została **Firma Produkcyjno-Usługowo-Handlowa Krzysztofa Biedy**.

Nominacje w kategorii: „Średnie przedsiębiorstwa” otrzymali: Biuro Usług Finansowo – Księgowych „FIS-KUZ” Limanowa, Przedsiębiorstwo Produkcyjno Handlowo Usługowe KONSTAL – *Andrzeja Kurnika* z Krasnych Lasocic, a także BOGMAR S.C. *Mariusza* i *Katarzyny Grzyb* z Mszany Dolnej.

Liderem Biznesu w kategorii „Średnie przedsiębiorstwa” zostało **Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowo-Usługowe KONSTAL** – *Andrzeja Kurnika* z Krasnych Lasocic.

Nominacje w kategorii: „Duże przedsiębiorstwa” otrzymali: Niepublicz-

ny Zakład Opieki Zdrowotnej „REH-STAB” oddział Rehabilitacji, Usługi Rehabilitacyjne – *Rafala Stabrawy* z Limanowej, „MEBLOMET” Spółdzielnia Pracy Mszana Dolna, a także INSTAR Spółka Jawna *Marka Czamary*, *Ewy Hajdyły* i *Jana Pytla* z Limanowej.

Liderem Biznesu w kategorii „Duże przedsiębiorstwa” została **Spółdzielnia Pracy „MEBLOMET” z Mszany Dolnej**.

W kategorii „Inicjatywa Gospodarcza” nominacje otrzymali: 2MS Serwis – *Marcina Spędzia* z Pomorzań, Centrum Języków Obcych Madison – *Kamila Kuczaja* z Limanowej, F.H.U „MALWA” – *Malwiny Strama* z Poręby Wielkiej, P.P.U.H. „DEJW” – *Dawida Biernata* z Limanowej, „LIMAMAPS” – *Piotra Pietronia* z Młynnego.

Laureatem w kategorii „Inicjatywa Gospodarcza” zostało **P.P.U.H. „DEJW” – Dawida Biernata z Limanowej**.

W konkursie „Pracodawca Roku” nominacje otrzymali: Partner – *Alma Stach*, Król Sp. J Limanowa, MTD Wojciech Miśkowiec z Tymbarku, Bank Spółdzielczy w Limanowej.

Laureatem został **Bank Spółdzielczy w Limanowej**.

U honorowano także tytułem „Przyjaciół Powiatu Limanowskiego” **Jerzego Millera** – wojewodę małopolskiego i **prof. Stanisława Hodorowicza** – senatora RP. Natomiast Mecenasem Przedsiębiorczości została **Elżbieta Bieńkowska** – minister Rozwoju Regionalnego. Podczas uroczystości limanowscy przedsiębiorcy wręczyli także, specjalne podziękowania Biskupowi Tarnowskiemu **Andrzejowi Jeżowi** i prezes Polskapresse – **Bernadecie Podlińskiej**.

Za wybitne zasługi dla rozwoju polskiej przedsiębiorczości „Srebrnym Krzyżem Zasługi” zostali uhonorowani: **Pawel Tokarczyk** i **Kazimierz Wojtas**, natomiast „Brazowym Krzyżem Zasługi” odznaczono: **Józefa Hajdyłę** i **Janusza Piętonia**.

**Fotografie: arch. Starostwa w Limanowej**

# LIMANOWSKA GALA PRZEDSIĘBIORCZOŚCI



W czasie IX Limanowskiej Gali Przedsiębiorczości Mecenaszem Przedsiębiorczości została Elżbieta Bieńkowska - minister Rozwoju Regionalnego (obecnie wicepremier). Obok minister z lewej stoi Stanisław Gągała, z prawej Jan Puchała i Tomasz Krupiński.



Liderem biznesu w kat. „Małe przedsiębiorstwa” została Firma Produkcyjno-Usługowo-Handlowa Krzysztofa Biedy. **Poniżej:** W konkursie „Pracodawca Roku” nominację otrzymali: Partner - Alma Stach, Król Sp. J. Limanowa, MTD Wojciech Miśkowiec z Tymbarku oraz Bank Spółdzielczy w Limanowej, który został laureatem tego konkursu.



Tytułem „Przyjaciół Powiatu Limanowskiego” uhonorowano: Jerzego Millera - wojewodę małopolskiego (drugi z lewej) i prof. Stanisława Hodorowicza - senatora RP (trzeci).



Za zasługi dla rozwoju przedsiębiorczości polskiej „Krzyżem Zasługi” odznaczeni zostali: Kazimierz Wojtas, Józef Hajdyła, Paweł Tokarczyk, Janusz Piętoń.







## Limanowa widziana z wieży odnowionej bazyliki

Fotografie: Karol Wojtas











**zapraszamy**  
**www.szubryt.pl**



*Kielbasa pieczona jak  
ze Starej Wsi,....*

*Wędliny z górskiej krainy!*

*Poznaj nasz region*



*Nagroda dla  
produktów!*

Kolejne produkty  
laureatami konkursu!  
Nagroda TERAZ POLSKA  
za....

**LAUREAT  
KONKURSU**



© Copyright Szubryt - Polityka prywatności

www.szubryt.pl

**Przekonaj się Sam,  
jak smakuja prawdziwe wędliny**

**Szubryt**®  
**ZAKŁADY MIĘSNE**



# Józef Gawron

Zofia Wiśniewska

## – rzeźbiarz amator, bibliofil, zbieracz osobliwości

Józef Gawron był młodszym bratem Jana - długoletniego starowiejskiego wójta i działacza ludowego. Urodził się w 1859 roku Podjabłońcem.

Ojciec Wawrzyniec zadbał o to, by obydwaj synowie skończyli szkółkę parafialną i zdobyli zawód szewca. Ta umiejętność była nieoceniona, bo dzięki niej rodzina nie musiała się martwić o obuwie zwłaszcza na zimę. Poza tym mogli nieco zarobić, co w wiejskich gospodarstwach bardzo się liczyło. Co prawda latem kobiety i mniej zamożni gospodarze chodzili na co dzień boso, ale już do kościoła i na jarmark szanujący się mężczyzna wyruszał w obuwii.

Józef od dziecięcych lat lubił rzeźbić. Gdy tylko rodzice nie widzieli, uciekał za stodołę lub do krzaków, biorąc ze sobą drewniany klocek. Jarmarcznym kozikiem wycinał różne „stwory” czasem takie, których sam nie umiał nazwać - skrzydlate smoki wypatrzone na świętych obrazach, złośliwe diabełki, a w późniejszych latach dopiero postacie świętych lub aniołów na wzór tych oglądanych w kościołach w czasie odpustów. Największym zmartwieniem była utrata kozika, bo wyprodukowany z lichej stali szybko się wyszczerbiał lub łamał. Wtedy pozostawało tylko jedno - wyprosić u rodziców zakup nowego z okazji kolejnego odpustu.

Józef „kręcił” też dla siebie i kolegów rówieśników wierzbowe fujarki, na których przygrywali w czasie wypasu bydła. Drugim umiłowanym zajęciem chłopca było czytanie. Czytał wszystko, co tylko wpadło mu w rękę - kalendarze, żywoty świętych pożyczone od organisty, a nawet nabożne pieśni zamieszczone w kantyczkach.

Kochał książki i marzył, by mieć je na własność, ale to nie wchodziło w rachubę, bo skąd wiejski chłopak mógł sobie pozwolić na ich zakup? Zresztą z czytaniem też musiał się ukrywać, gdyż według rodziców, była to strata czasu.

Tymczasem z chłopca wyrósł mężczyzna. Spadkobiercą „Gawronówki” został starszy brat Jan. Józef miał przyrzeczone „spłat” i musiał rozglądać się za



Józef i Jan Gawronowie w limanowskich gurbanach samodziałowych, Józef w białej, Jan w czarnej - rys. Wincentego Gawrona, bratanka Józefa - 1953 r.

kandydatką na żonę, ale taką, która by otrzymała od rodziców gospodarstwo. Swoje „przeznaczenie” znalazł na Walowej Górze. Spłaciwszy rodzeństwo swojej przyszłej żony, zawarł związek małżeński i zaczął gospodarować na własną rękę. Gleba była słaba, kamienista, jej obróbka ciężka, a plony marne.

Rodziły się dzieci - sami synowie: Franciszek, Jan, Józef i najmłodszy Stanisław. Podrastali, zaczęli pomagać w pracach polowych i w oborze. Pieniądzy potrzeba było coraz więcej, bo stara chałupa się rozpadala i należało pomyśleć o nowej. Na szczęście budulca nie trzeba było kupować, bo w skład gospodarstwa wchodził także las.



Mimo wydatków na różne cele Józef Gawron „musiał” wygospodarować w każdym miesiącu chociaż parę złotych na kupno nowej książki. Przynosił ją do domu, nabożnie dotykał kart, okładał w otrzymaną przeważnie od brata wójta gazetę i w niedzielę lub święta, szczególnie zimą gdy pracy było mniej, czytał. Te książki to było jego największe umiłowanie. Zdarzało się czasem, gdy sobie jakąś „wypatrzył”, a nie miał za co jej kupić, chodził jak błędny i dotąd kombinował, aż dostała się w jego ręce. Z biegiem czasu stał się najbardziej światłym człowiekiem w okolicy. Początkowo pożyczał chętnym książki ze swego zbioru, ale kiedy zorientował się, że wracają w oplakany stan lub nie wracają wcale, „zaciał się” i kategorycznie odmawiał.

W przybudówce umieścił własnoręcznie wykonaną szafę i na ozdobionych przemyślnymi rzeźbami półkach poukładał księgozbiór, ponumerował go i zapisał w taniutkim brulionie.

Zapoczątkował natomiast coś innego, na owe czasy nowatorskiego, a mianowicie wspólne czytanie, które zaczynało się późną jesienią, a kończyło wczesną wiosną, gdy zaczynały się prace polowe. Zainteresowani nim stateczni gospodarze, a potem także starsza młodzież po dokonaniu wieczornych, gospodarskich obrzędów przychodzili do domu Józefa Gawrona. Starsi siadali na ławach, młodszy na glinianej podłodze (klepisku), pod kuchenną płytą wesoło buzował ogień i zaczynało się czytanie przy słabym świetle niewielkiej naftowej lampy. Z biegiem czasu chętnych było coraz więcej, bo o czytelniczych posiadaczach poszła fama do sąsiednich wiosek. Duża kuchnia u Gawronów stawała się zbyt ciasna na przyjęcie gości, ale na to już nie było rady.

Ze względu na owo czytanie, a potem dyskusje po nim coraz dłużej trwające, zdarzało się, że jego uczestnicy wracali do domów nad ranem. Wyłoniła się przy tym sprawa nafty, która sporo kosztowała, a lampa, choć mała, przez tyle godzin „pożerała” sporo paliwa. W tej sytuacji stali bywalcy postanowili włączyć się do oświetlenia, by gospodyni domu nie wypominała mężowi, że jego pomysły dużo kosztują. Ustalili, że będą przynosić z sobą kolejno woskowe świece. To odciążyło budżet domowy Józefa, palące się świece pięknie pachniały, a czytelnicstwo kwitło. Gdy świeca kończyła swój żywot i gasła, otwierano drzwiczki od pieca, do którego ciągle podrzucano



Kapliczka wykonana przez Józefa Gawrona.

drewno lub susz. Nikła poświata padała na siedzących, a Józef zaczynał swoje opowieści. Streszczał grube tomiska, mówił o duchach i strachach, a także o wydarzeniach nadchodzących z dalekiego świata. Opowiadał pięknie, miał talent narratorski, goście z trudem i wielkim ociąganiem odchodzili do swoich chat, by wieczorem znów wrócić do gościnnego domu.

Gospodarz był do tego stopnia zadowolony z owych spotkań, że nie brał sobie do serca ciągłych utyskiwań żony, że na „byle co” marnuje tyle pieniędzy.

Prawdziwym hitem okazały się „Przepowiednie królowej Saby”. Duże tomiska oprawne w czerwone sukno, złote litery w tytule przyciągały wzrok. Nabytek kosztował sporo, ale zainteresowanie nim okazało się ogromne. Chata pękała w szwach od ciekawskich. Nie była to żadna wielka literatura, ale też poziom intelektualny ludzi, którzy interesowali się wymienionym tytułem, nie należał do wysokich. Odtąd to już nawet latem przybiegali wieczorem, by posłuchać „mądrości królowej”. Wymienioną pozycję „przebił” sennik „Tysiące snów”. Teraz dopiero do domu Józefa Gawrona ciągnęły prawdziwe pielgrzymki ludzi, którzy przychodzili odczytywać sens swoich snów. Podobno tłumaczenia się sprawdzały, a fama o człowieku, który zdobył taką drogocenną książkę szerzyła się coraz dalej. Właściciel sennika nikomu nie dawał do ręki swego nabytku. Sam odczytywał znaczenie nocnych majaków, a potem to już nawet nie musiał sięgać do księgi, bo znał ją prawie na pamięć. Bojąc się złodziei, ukrywał ją też w coraz to innych

miejscach, zwłaszcza gdy wychodził na dłużej z domu. Zainteresowanie tym, co kogoś czeka, było ogromne, bo czasy nastąpiły niespokojne. Wreszcie wybuchła I wojna światowa.

Synowie Józefa otrzymali powołanie do wojska i wyruszyli bronić Cesarstwa i Najjaśniejszego Pana z siwymi bokobrodami. Nawet najmłodszy Stanisław, choć jeszcze nie miał odpowiedniego wieku, skuszony obietnicami austriackich urzędników, poszedł „na ochotnika”.

Złe czasy nastąpiły wtedy na polskie rodziny. Odczuł to także Józef Gawron. Do pracy w gospodarstwie został tylko on z żoną. Z trudem ciulane pieniądze straciły wartość. W polu nie miał kto pracować. Zboże siane w glebę bez podorywki dawało bardzo małe plony. Jednak nawet w takim trudnym czasie Józef Gawron starał się mieć kontakt ze światem i wiedzieć, co się na nim dzieje. Dlatego, co należy zaliczyć do prawdziwych osobliwości, prenumerował „Epizody wojenne.” Były to materiały ukazujące walki prowadzone przez strony konfliktu na terenie Europy.

O szerokich zainteresowaniach Józefa różnymi zagadnieniami może świadczyć taka pozycja jak „Pszczelnictwo” w wydaniu Macierzy Polskiej.

Po 4 - letniej wojnie synowie, na szczęście, wrócili do rodzinnego gniazda. Zaczęli zakładać własne rodziny, a „ochotnik” Stanisław otrzymał w nagrodę za wojskową postawę pracę „na kolei” na Śląsku Cieszyńskim, gdzie doczekał się nawet stanowiska zawiadowcy.



Figura Matki Boskiej wykonana przez J. Gawrona. Obecnie znajduje się przy ulicy Jabłonieckiej.

Oprócz zainteresowań czytelniczych Józef Gawron miał uzdolnienia artystyczne. Interesował się także w dorosłym swoim życiu rzeźbą. Wykonywał piękne drewniane kapliczki, które rozwieszał na przydrożnych drzewach i cieszył się ogromnie, gdy przechodzący koło nich ludzie zegnali się nabożnie. Obudowę kapliczki ozdabiał płaskorzeźbami, a do wnętrza wkładał światełki, misternie wykonane krzyże, figury Matki Bożej lub świętych.

Takich kapliczek było wiele. Choć minęło już ponad 100 lat od ich wykonania, zachowały się jeszcze dwie. Jedna przy ulicy Jabłonieckiej, a druga w rodzinnym domu amatora rzeźbiarza. Tę przy ulicy Jabłonieckiej podarował swemu bratu Janowi, a on umieścił ją na młodym (wtedy) świerku przy polnej drodze prowadzącej na Wzgórze Jabłonie. Świerk wyrósł na potężne drzewo, spróchniał i trzeba było go ściąć. Kapliczka, na szczęście, przetrwała. Teraz strzeże przechodniów już nie dróżki, lecz wygodnej drogi na innym, młodym świerku. Odnowiona przez opiekującą się nią rodzinę może będzie trwać tam na straży następne 100 lub więcej lat? Druga kapliczka z kolekcji wykonanych przez Józefa Gawrona, która przetrwała do obecnej chwili, była umieszczona na ścianie w izbie pomiędzy dwoma oknami. Przybrana latem w żywe, zimą w sztuczne kwiaty skupiała rodzinę na wspólnej wieczornej modlitwie. Przed nią w maju śpiewano litanię loretańską, a w październiku odmawiano różaniec. Przed nią modlono się w trudnych życiowych chwilach i przed podjęciem ważnych decyzji. Ze względu na zły stan techniczny rodzina wyjęła z niej figurki i ustawiła oddzielnie. Chcąc przedłużyć jej żywot należy dokonać niezbędnej konserwacji.

Jeszcze nie tak dawno na istniejącym starym domu Józefa Gawrona była także umieszczona sporych rozmiarów drewniana kapliczka z Matką Bożą Różańcową. Ktoś nie zdający sobie sprawy z jej wartości zabytkowej usunął ją, podobnie jak tę, która strzegła bocznej drogi prowadzącej na Pasierbiec. Zniknęła w okresie, gdy pojawiło się wielu amatorów kapliczek stojących na straży polnych ścieżek i leśnych duktów. Bardziej wartościowe trafiały w ręce prywatnych kolekcjonerów, czasami wywożono je nawet za granicę, inne zostały bezmyślnie zniszczone.

Szkoda, że swoich pasji artystycznych nie potrafił Józef zaszcześcić swemu potomstwu. Chyba dlatego starał się rozbudzić je w bratanku Wincentym Gawronie, który jako chłopiec chętnie biegł po radę do swojego stryja, bo ten miał zawsze dla niego czas, chętnie z nim rozmawiał, poprawiał rysunki legionistów i zachęcał do cierpliwej pracy w tym kierunku.

Wincenty - późniejszy artysta malarz i rytownik do końca życia wspominał swego stryja jako duchowego opiekuna. Twierdził także, że to od niego przejął zamiłowanie do zbieractwa, które doprowadziło go do otwarcia prywatnego muzeum militariów.

Wracając do Józefa Gawrona, należy także wspomnieć, że wykonywał własnego pomysłu barometry przepowiadające pogodę. Były to drewniane domki w stylu góralskim, a w nich dwie figurki - mężczyzna i kobieta osadzone na baraniej strunie. Wiadomo, że deszcz zapowiadała wychodząca z chatki „ta zła”, czyli kobieta, pogodę „zwiastował” zawsze mężczyzna. Barometry rozdawał znajomym, którzy stwierdziwszy prawdziwość prognoz przybywali po nie coraz częściej. Próbowali nawet wykonywać je samodzielnie, ale efekty były marne.

Oprócz kapliczek i barometrów robił też Józef kopie drewnianych świeczników widzianych w czasie odpustowych pielgrzymek w różnych kościołach.

Dla dzieci i młodzieży chodzących po kołędzie sporządzał gwiazdy i szopki.

Jeśli tylko udało mu się wygospodarować trochę pieniędzy, kupował różne osobliwości, jak np. zegar wydzwaniający melodię - „Po górach, dolinach”, który szczególnie podobał się dzieciom. Kolekcjonował też garnuszki z „najprawdziwszej”, jak mówił porcelany. Najbardziej cenił sobie takie z portretami cesarza Austrii. Ustawiał je na specjalnej półce, sam wycierał i nikomu nie pozwalał dotykać.

Z okazji liczących się świąt żona robiła mu zbożową kawę z mlekiem, a on pił ją wolniutko, długo się delektując, za każdym razem w innym ozdobnym garnuszku.

Z licznych swoich wnuków najbardziej kochał mieszkającego obecnie w Limanowej Stanisława Gawrona. Gdy był już starszym człowiekiem, często zimową porą siadał z nim na ławie koło pieca i opowiadał mu o całym swoim życiu. Przy nim też dokonał swego żywota w 1936 roku.

Spoczął na cmentarzu w Łososinie Gómej.

Jeszcze dzisiaj, gdy Stanisław wspomina swego dziadka, ogarnia go wielkie wzruszenie, bo był nadzwyczajnym człowiekiem, który wyrósł ponad swoją epokę, a dzisiaj oprócz rodziny, nikt o nim nie pamięta.

*Za piękne wspomnienia o Józefie Gawronie serdecznie dziękuję jego wnukowi P. Stanisławowi Gawronowi.*

**autorka artykułu**

**Fotografie kapliczek:  
Krzysztof Słowiak**



Strona tytułowa prasy wojennej „Epizody wojenne” z kwietnia 1917 roku.



# Wincenty Gawron

Zofia Wiśniewska

## limanowski artysta malarz za Wielką Wodą

Długo oczekiwane zakończenie II wojny światowej nie wszystkim Polakom przyniosło wolność i pokój. Dla wielu oznaczało dalsze zniewolenie, prześladowania, procesy zakończone niesprawiedliwymi wyrokami, długoletnim pobytem w więzieniach o zastraszonym rygorze lub po prostu wyrokami śmierci i nie znanym miejscem pochówku.

Spotkało to wielu naszych rodaków walczących na różnych frontach wojny o wolność „naszą i waszą”, gdy powrócili do Ojczyzny. Nowa władza podległa wschodniemu mocodawcy podzieliła Polaków na 2 obozy: prawych popierających bezkrytycznie nowy układ polityczny z jego sojuszami i „wyklętych”, do których należeli m.in. byli żołnierze Armii Krajowej.

Wincenty Gawron reprezentował właśnie to drugie ugrupowanie. Nie nobilitował go pobyt w obozie koncentracyjnym, bo powinien był umrzeć, ale dzięki stalowemu zdrowiu i pomocy wspaniałego człowieka - Witolda Pileckiego udało mu się zbiec i przeżyć wojnę.

Zorganizowanie oddziału dywersyjnego AK, potem udział w Powstaniu Warszawskim, praca w rusznikarni -jeszcze bardziej obciążały i tak już bogaty życiorys Wincentego, który ciągle miał nadzieję, że jak się wszystko unormuje, będzie potrzebny odrodzonej Ojczyźnie.

Po szczęśliwej ucieczce z obozu w Pruszkowie miał jeszcze tyle marzeń. Wierzył w lepszą, jaśniejszą przyszłość kraju. Jeszcze rok, dwa, pięć i wznoszenie mocnych podwalin nowego ładu ruszy z miejsca i on też dołoży do tego swoją cegiełkę.

Wrócił do zniszczonej stolicy i pełen pomysłów poszedł na spotkanie ze swym powstaniowym dowódcą „Twardym”. Był marzec 1945 roku.

W mieszkaniu „Twardego” NKWD zorganizowało „kocioł” i Wincenty wpadł. Wtedy zrozumiał, że to już krach jego planów dotyczących rodzinnego kraju. Jeśli szczęście mu dopisze i potrafi jeszcze raz unieść w całości głowę, musi opuścić ojczyznę, bo w zaistniałych układach spotka go to, czego uniknął w czasie okupacji.

Był tylko jeden sposób wydostania się z ciężkiej opresji -przekupstwo. Jedyną cenną rzeczą mającą dla niego wartość materialną i emocjonalną był drogi, kopertowy zegarek z wygrawerowanym monogramem. To nim skusił pilnującego go Ukraińca. Zegarek zmienił właściciela, a artysta zyskał wolność. Słabo ubrany, boso mimo zimna i topniejącego śniegu, przez małe okienko w komórce wydostał się na pole i pobiegł przed siebie.

„Dobrzy ludzie” pomogli mu zdobyć cieplejsze odzienie i buty. Granice nie były jeszcze zbyt dobrze strzeżone, więc udało mu się przedostać do Czechosłowacji. Chyba był w czepku urodzonym, bo zetknął się z Brygadą Świętokrzyską stacjonującą koło Pragi. Zajęli się nim bardzo serdecznie. Brygada przebywała tam kilka miesięcy, więc wraz z nią przeszedł specjalne przeszkolenie. Potem był jeszcze obóz oficerski w Murnau, Italia i II Korpus gen. Andersa, w którym pracował w Oddziale Kultury i Prasy.

Opuścił Włochy, zabierając z sobą oprawne w płótno pierwsze 2-tomowe wydanie - „Bitwy o Monte Cassino” Melchiora Wańkowicza. Następny etap to Anglia, w której nastąpiło ostateczne rozwiązanie Korpusu. Pobyt w obozie dla uchodźców miał „krótki żywot”. Trzeba było go opuścić i na własną rękę znaleźć swe miejsce na ziemi. Polski Korpus Przyśposobienia i Rozmieszczenia niewiele mógł zaferować. Polacy nie byli już Wielkiej Brytanii potrzebni.

Pomocną dłoń podała Wincentemu Gawronowi rodzina pp. Bulandów mieszkająca od wielu lat w Kanadzie, spokrewniona z artystą przez męża siostry Kune-gundy.

W tym czasie kanadyjską wizę mogły otrzymać tylko osoby podejmujące tam pracę na farmach. Takie właśnie zaproszenie dla 3 osób otrzymał od siostry szwagra Wincenty Gawron. Przyplłynął do Kanady wraz z drugą żoną i kolegą.

Koszt sprowadzenia emigranta do Kanady był znaczny, bo oprócz przejazdu należało także zapłacić za każdą osobę kaucję w wysokości 2 tysięcy dolarów

*„Kto tam zgadnie, gdzie osiądziesz,  
Jaką wodą w świat popłyniesz,  
W której stronie walczyć będziesz  
I od czyjej broni zginiesz?  
Kto tam zgadnie?”*  
(Wincenty Pol)

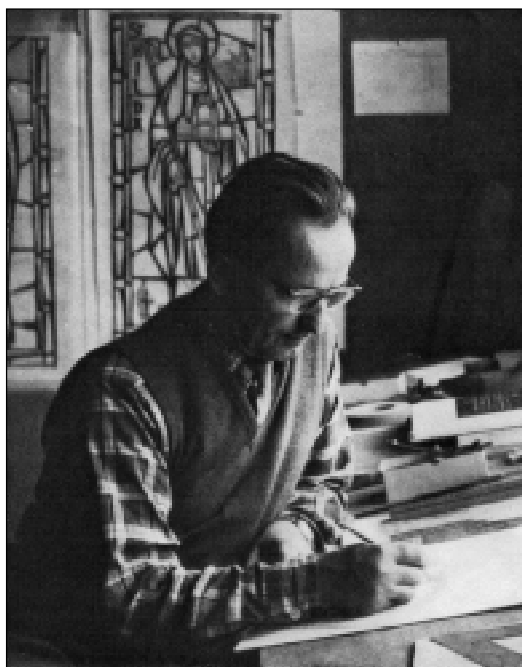


Wincenty Gawron i Jego szable.

(dolar miał wówczas ogromną wartość) na wypadek, gdyby zaproszony w rażąco sposób naruszył normy przyjmującego go państwa. Jeśliby tak się stało, to w ramach kaucji deportowano uciążliwą osobę do rodzinnego kraju.

Artysta przybył do Kanady w 1948 roku i zamieszkał u rodziny w niewielkim miasteczku Redcliff (prowincja Alberta). Oprócz pracy w farmach lub w cegielniach nie było tam większych możliwości zatrudnienia.

Wincenty podejmował różne zajęcia, lecz nie były one na miarę jego zdolności i zainteresowań. Dlatego też po zaaklimatyzowaniu się i poznaniu realiów zmienił miejsce pobytu z Redcliff na duży ośrodek miejski Medicine Hat, w którym były liczne zakłady pracy obsługujące różną gałęź gospodarki.



W studio „Giannini & Hilgart” Chicago. W tle witraż św. Hildy.



Wincenty Gawron w Muzeum w USA - lata osiemdziesiąte XX wieku. Kolekcja odznak i medali.

Znalazł zatrudnienie w pracowni tkanin obciowych, dla której projektował wzory. Dorabiał sztuką sakralną. Malował obrazy do kościołów i dla indywidualnych odbiorców, a także olejne portrety dzieci i dorosłych.

Z tego „kanadyjskiego okresu” na szczególną uwagę zasługuje ołtarz Matki Bożej Nieustającej Pomocy zaprojektowany i wykonany w całości przez Wincentego Gawrona z posrebrzanej blachy do nowo budowanej świątyni w Medecine Hat. Warto zaznaczyć, że wszystkie postacie i różne detale wykonał zwykłymi nożycami używanymi do strzyży owiec. Nawet długie loki aniołów zawdzięczają „skrety” tymże nożycom. Ołtarz wygląda imponująco, bardzo oryginalnie i jest chlubą miasta.

W 1956 r. po zdobyciu uprawnień emigranta politycznego przeniósł się do USA i osiedlił w Chicago. W ogromnej metropolii i wśród licznej Polonii start Wincentego był o wiele łatwiejszy. W tym czasie w Stanach Zjednoczonych chętnie przyjmowano wykształconych ludzi różnych zawodów. Wpłynął na to udział tego olbrzymiego kraju w II wojnie światowej i wynikłe stąd braki.

Artysta z żoną Czesławą i dwoma córkami - Małgorzatą i Jagodą zamieszkał w domu swojej siostry Agaty Wilk. Agata przybyła do tego zamorskiego kraju w 1913 r. i założyła tam rodzinę. Pracowała w różnych organizacjach polonijnych, była osobą znaną i szanowaną, dlatego ułatwiła start życiowy swemu bratu.

Było to dla niego bardzo ważne, bo kolejne małżeństwo nie wytrzymało pró-

by czasu. W tej sytuacji pomoc siostry i jej wsparcie było nieocenione.

Po zapewnieniu sobie podstaw egzystencji w nowym kraju, wynajął mieszkanie, wyprowadził się od Agaty i zaczął nową erę w swoim życiu, tym razem ostateczną, amerykańską.

To co się liczy w życiu każdego człowieka, a artysty w szczególności, otrzymał pracę zgodną z wykształceniem i zainteresowaniami w Daprata Rigali Studios - włoskiej firmie mającej stary rodowód i ustaloną renomę. Założona w 1860 r. zajmowała się realizowaniem zamówień dla kościołów, upiększaniem wnętrz, projektowaniem wystroju. W zależności od zasobów materialnych wiernych należących do danej świątyni były to figury z gipsu, marmuru, bazaltu lub innych bardzo kosztownych materiałów.

Wincenty Gawron tworzył piękne postacie aniołów w różnych postawach - kłęzących, unoszących się w powietrzu, stojących-zadumanych lub uśmiechniętych, a także niepowtarzalne Madonny patrzące z niewyobrażalną dobrocią na przychodzących do świątyni wiernych. Oprócz dużych rzeźb projektował detale takie jak świeczniki, lichterze czy inne przedmioty służące do ozdobienia kościołów.

W związku z atrakcyjnymi ofertami kilkakrotnie zmieniał miejsca pracy, aż wreszcie dostał bardzo interesującą propozycję objęcia pracowni plastycznej w Marshall Field znajdującym się w centrum Chicago. Marshall Field był w owym czasie najsłynniejszym, luksusowym, ogromnym domem towarowym zajmującym

kilkanaście pięter, wybudowanym nakładem człowieka, którego nosił imię w XIX wieku. Obecnie gmach ten jest już zamknięty i stanowi zabytek.

Wincenty Gawron miał pracownię na 12 piętrze. Zajmował się głównie, choć nie jedynie, liternictwem. W owych 60 i 70 latach minionego wieku szanujące się i bogate firmy używały tylko ręcznie wykonanych napisów do wielkookiennych wystaw.

Ręcznie malowane napisy reklamowały modę, konfekcje, meble, biżuterię - słowem wszystko, co polecał dom towarowy, a Marshall Fidel dysponował całym wyposażeniem dla osób i domu. Interesant wchodzący w jego progi z grubym portfelem, wychodził ubrany od stóp do głów, z całym wyposażeniem domu począwszy od mebli i dywanów, a skończywszy na drobniactwach. Wincenty tworzył napisy bezbłędnie. Przy pomocy linijki, atramentu, farbek, pędzla lub pióra komponował różne kształty liter począwszy od prostych do najbardziej wymyślnych, w zależności od potrzeb wystawcy. Zdarzało się, że klienci czynili zakupy tylko dlatego, że zwabiły ich, co podkreślali, wymyślne reklamy.

Zatrudnienie w pracowni plastycznej tak znanego Domu Towarowego zapewniało artyście byt, ale swoje marzenia realizował głównie w Giannini&Hilgart - wytwórni przedmiotów religijnych, w której był zatrudniony na 1/2 etatu. Firma ta wykonywała przedmioty kultu religijnego, głównie witraże, nie tylko do świątyni, ale do bogatych domów prywatnych i przedsiębiorstw. ▶

► Dzięki przemysłanej reklamie zamówienia przychodziły z całego kraju, a było ich tyle, że nie można było zdążyć z ich realizacją. W tym czasie artysta wykonał wiele witraży „rozsianych” po całym ogromnym państwie, a także freski do kościołów. Dzisiaj trudno je znaleźć, bo Wincenty Gawron nie przywiązywał wagi do swojej twórczości i o wielu zamówieniach nie mówił nawet swym córkom.

ON - pojedynczy człowiek był maszyną wykonującą wiele usług dla wszystkich, którzy o to prosili. Nie wiadomo jak to robił, że „doba” była mu poslušna i starczyło czasu. Zdarzało się także, że zachęcony tematyką brał często udział w różnego rodzaju międzynarodowych konkursach plastycznych i zdobywał główne nagrody.

Przez cały czas pobytu w USA był czynny w różnych organizacjach polonijnych: m.in. należał do Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (SPK) i Związku Weteranów Armii Krajowej w Chicago. Przynależność do organizacji polonijnych nie była bierna. Wykonywał dla nich wiele prac jak: projekty emblematów organizacyjnych, obrazy historyczne, portrety wybranych bohaterów i dekoracje.

Szczególnie uroczyste obchodzone przez Polonię święto 3 Maja było okresem wytężonej pracy artysty. Ubrał rydwany biorące udział w pochodzie, wycinał z brzołtu, a częściej z metalu piękne orły będące jego specjalnością. Zdarzało się, że czołówka pochodu już ruszała, a on kończył jeszcze przyozdabianie wozów. W paradach zawsze maszerował z grupą więźniów Oświęcimia.

Uczestniczył również w wystawianiu „polonijnych jasełek”. Sam też był w nich aktorem. Przygotowywał dekoracje, kostiumy, wycinał „anielskie skrzydła”. Jego fantazyjne „turonie” były bardzo efektowne i popularne.

Na występy przychodziły tłumy Polaków. Była to powojenna emigracja polska, która trzymała się razem i w ten sposób chciała zademonstrować swoją lojalność wobec Ojczyzny.

Mimo nawału pracy artysta rozwijał też indywidualną pasję - zbieractwo militariów, co interesowało go od dziecięcych lat. Orzełki, guziki od żołnierskich mundurów, oznaki pułkowe, hełmy, naramienniki, fotografie legionowe i szable - to cały jego świat. Nawet uciekając z kraju zabrał z sobą garść orzełków od czapek żołnierskich z różnych okresów polskiego oręza.

To hobby towarzyszyło mu przez całe życie i zaowocowało otwarciem prywatnego Muzeum Wojska Polskiego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, ale to już stało się, gdy przeszedł na emeryturę. Wcześniej w 1971 r. zorganizował wystawę wszystkich swoich zbiorów w swoim mieszkaniu.

W 1973 r. poszedł na emeryturę i zakończył pracę w MARSZALD Fiedl. Przejście na emeryturę zbiegło się z otrzymaniem odszkodowania za pobyt w obozie koncentracyjnym od rządu austriackiego, bo okazało się, że czołowy oprawca, który zniszczył mu w czasie przesłuchań tchawicę i uszkodził krtań (mimo operacji do końca życia miał trudności z mową) był Austriakiem.

Teraz cały wysiłek i wolny czas poświęcił na stworzenie własnego Muzeum. Oddał się w całości swej wielkiej pasji zbierania militariów. Jeździł do różnych miast USA na specjalne „Jarmarki militarne”, na których poszukiwał eksponatów do swego muzeum. Był zdziwiony, że znalazł ich tak wiele. Odkupował mundury, szable, orzełki, odznaki od czasów Powstania Styczniowego, aż po II wojnę światową. Przywiezione „nabytki” czyścił, uzupełniał brakujące elementy, opisywał i umieszczał w specjalnie wykonanych gablotach.

W tym też 1973 r. wybrał się w odwiedziny do Polski. Tęsknił do swego kraju, do rodziny, do ukochanych miejsc. Przywiózł ze sobą część swoich zbiorów jako dar dla Muzeum Wojska Polskiego i na wymianę za inne eksponaty. Muzeum Martyrologii w Oświęcimiu podarował kilkanaście obrazów przedstawiających sceny obozowe z tamtych okrutnych lat. Potem zakupił legalnie kolekcję orzełków i przepłacił to ich konfiskatą w czasie odprawy celnej i 6-miesięcznym pobyt w więzieniu. Zwolniony, bez wyjaśnienia i małego słowa „przepraszam” wyjechał z zadrą w sercu do USA.

To przeżycie odebrało mu całą radość z pobytu w Polsce. Dobrze, że czas zrobił swoje i artysta zapomniał o doznanej krzywdzie. Po powrocie do USA wystąpił o przyznanie obywatelstwa amerykańskiego (wcześniej zrezygnował z niego uważając, że polskie mu wystarczy). Po otrzymaniu go nigdy już w czasie wizyt w ojczyźnie nie zdarzyło mu się nic przykrego.

Warto wspomnieć, że w czasie pobytu za Oceanem Wincenty Gawron był ciągle sercem w Polsce i interesował się wydarzeniami w Ojczyźnie. Mając na uwadze to, że w USA mieszka tak wielu Pola-



Odsłonięcie portretu Józefa Piłsudskiego autorstwa Wincentego Gawrona, Muzeum Polskie w Chicago - 19 marca 1980 r.

ków, podnosił ich na duchu i doceniał ich patriotyzm. To dla nich zaprojektował piękną winietę dla czasopisma „Orzeł Tatrzański”, okładkę książki ks. dr. Pawła Ilińskiego pt. „Znaczenie chrztu Polski”, a z okazji pobytu Jana Pawła II w Ameryce - kopertę płyty gramofonowej pt. „Papież z Polski”.

Dla Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Chicago zaprojektował awers medalu i piękne znaczki pocztowe, które dzisiaj osiągają na rynku wysokie ceny.

Jego dziełem jest też projekt frontowej strony medalu „Bitwy o Monte Cassino” (1969 r.) oraz drewniany żeton „Bitwy” przedstawiający górę i klasztor Monte Cassino, a po prawej stronie na tle murów Warszawy znak Polski Walczącej (1984 r.).

Projektował także inne medale np. z okazji lądowania człowieka na księżycu, odznakę z okazji najazdu Niemców na Polskę mającą kształt mapy Polski z łańcem na koniu broniącym granicy, czy odznakę dla Hubalczyków, którą otrzymali wszyscy żyjący żołnierze tej formacji.

Po owych nieprzyjemnych zajęciach, które spotkały artystę w 1973 r. był jeszcze w Polsce wielokrotnie. Przywoził zawsze do swego kraju wartościowe eksponaty, jak np. z okazji „cudu nad Wisłą” mundury Hallerczyków (w tym dwa gen.



Ołtarz Wincentego Gawrona w parafii św. Patryka Medecina Hat. „Matka Boska Nieustającej Pomocy” - 1950 rok.



Wincenty Gawron (z łaską) w czasie uroczystości w Szczawie, obok bratanek Andrzej Gawron.

Hallera) na wystawę organizowaną przez Muzeum Narodowe w Warszawie, a także atrakcyjny upominek - 2,5 godzinny film o Legionach pt. „Rok 1914”. Ten film zdobył od Jana Sejdy w drodze wymiany na stroje krakowskie potrzebne wymienionemu do wystawienia „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego. Dzięki temu film o Marszałku oglądała cała Polska, a Polonia zobaczyła „Wesele” w oryginalnych strojach. Film był poprzedzony wywiadem telewizyjnym z artystą.

W czasie pobytów w Ojczyźnie Wincenty Gawron brał zawsze udział w sierpniowych uroczystościach partyzanckich w Szczawie. Towarzyszył mu bratanek Andrzej Gawron. W 1987 r. poproszony przez organizatorów dokonał wpisu w Księdze Pamiątkowej I. Pułku Strzelców Podhalańskich. Oprócz wpisu szybkimi ruchami na całej stronie narysował godło naszego kraju - Orła w koronie. Księga znajduje się w Muzeum AK w Szczawie. Chociaż z wiadomych powodów miał trudności z mówieniem, zdecydował się zabrać głos w czasie uroczystości. Jego słowa przyjęto z uznaniem i szacunkiem. Nagrania przemówienia dokonał nieżyjący już dzisiaj uczestnik uroczystości „Dzik” ze Starachowic. W partyzanckich uroczystościach w Szczawie brał udział ostatni raz w 1990 roku.

Po przejściu na emeryturę artysta wykonywał jeszcze różne zamówienia prywatne i dla organizacji. Malował portrety, martwą naturę, krajobrazy olejne i tworzył piękne drzeworyty, wszystkie tematycznie związane z Polską, z górami

lub żołnierzami. Miał romantyczną duszę, a jego serce należało zawsze do Polski, choć dzielił go od niej ocean.

Był skromnym człowiekiem, nie miał ambicji materialnych, a w swoim chicagowskim mieszkaniu chętnie użyczał gościny przyjeżdżającym z Polski rodakom. Dla nich wszystkich był przybranym „wujkiem”. Zapewniał im dach nad głową i pomagał szukać pracy.

Witoldowi Pileckiemu „Ochotnikowi do Oświęcimia”, który pomógł mu w ucieczce z obozu, ufundował tablicę pamiątkową odsłoniętą w listopadzie 1990 r. w Kościele Garnizonowym w Warszawie.

Przez ostatnich 10 lat przed ostatecznym odejściem z tego świata ze względu na pogarszający się wzrok malował coraz mniej. Z ważniejszych prac z tego okresu należy wymienić portret Władysława Orkana, portret Marszałka Józefa Piłsudskiego, cykl obrazów zatytułowany „Polska Droga Krzyżowa” i owalny witraż dla limanowskiej bazyliki (1991 r.) zamontowany w bocznej kaplicy z okazji 200 - rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja (1791 r.)

W miejsce malarstwa artysta zaczął pisać. Wtedy to powstały liczne opowiadania zamieszczane w różnych wydawnictwach polonijnych, pamiętniki pt. „Wspomnienia z lat chmurnych 1914-1940” i „Rok w pasiakach”. Ciekawe są także jego powieści „Cicha noc” i „Ochotnik do Oświęcimia” (o Witoldzie Pileckim), sensacyjno-fantastyczne dla młodzieży i sceniczne „Żywią i bronią” oraz „Pieśń walczących Gorców”.

Wolniejszy nieco czas na emeryturze poświęcał swojej wielkiej pasji - zdobywaniu militariów. Gdy miał kilka jednakowych sztuk, wymieniał na inne. Nawiązywał kontakty z różnymi zbieraczami, nabywał nowe okazy do swojej kolekcji. Był zadowolony z życia w swoim wymarzonej świecie. Cieszył się, że doczekał wolnej Polski, że może odwiedzać rodzinę i stare, ulubione kąty. Kochał bezgranicznie góry, jej mieszkańców i wśród nich pozostał na zawsze.

Odszedł niespodziewanie 25 sierpnia 1991 r. w czasie pobytu w Polsce. Jego pogrzeb zgromadził wielu życzliwych mu ludzi i poczty sztandarowe kombatanów. Przyjechała delegacja więźniów oświęcimskich i przyjaciele z całej Polski.

Odszedł zasłużony LIMANOWIANIN, prawy Polak, patriota, który choć zmuszony do zamieszkania daleko od Polski, cały czas myślał i duchem przebywał w Ojczyźnie. Spoczął pod Siwym Brzegiem w żołnierskiej kwaterze wśród tych, których zawsze cenił i szanował. Drugie pożegnanie zorganizowała mu Polonia w zamorskim kraju.

Po odejściu artysty do innego wymiaru pozostał problem muzeum, którego prowadzenie wymagało wiedzy, umiejętności i dużych nakładów finansowych. Żadna placówka tego typu nie przynosi dochodów. To specjalne w swoim rodzaju muzeum dobrze egzystowało, póki żył jego twórca, zabiegał o jego rozwój, wkładał w jego utrzymanie każdy grosz, entuzjasmował się każdym nowo zdobytym eksponatem i miał do niego osobisty stosunek.

Ukochana córka Małgorzata nie interesowała się militariami, miała swój zawód, pracę i nie mogła jej porzucić, bo pozbawiłaby się przez to środków do życia.

Z bólem serca zdecydowała się zlikwidować muzeum. Część zbiorów z imponującym portretem olejnym Marszałka Józefa Piłsudskiego znajduje się w Muzeum Polskim w Chicago. Sporo nabył miłośnik militariów obywatel Austrii i przewiózł do swego kraju. Wiele przedmiotów znalazło się w rękach różnych kolekcjonerów. Najważniejsze, że wszystko przeszło w dobre ręce. Nic nie zostało zmarnowane czy zniszczone. Istnieje, „żyje” choć w inny sposób. Czasem tak musi być.

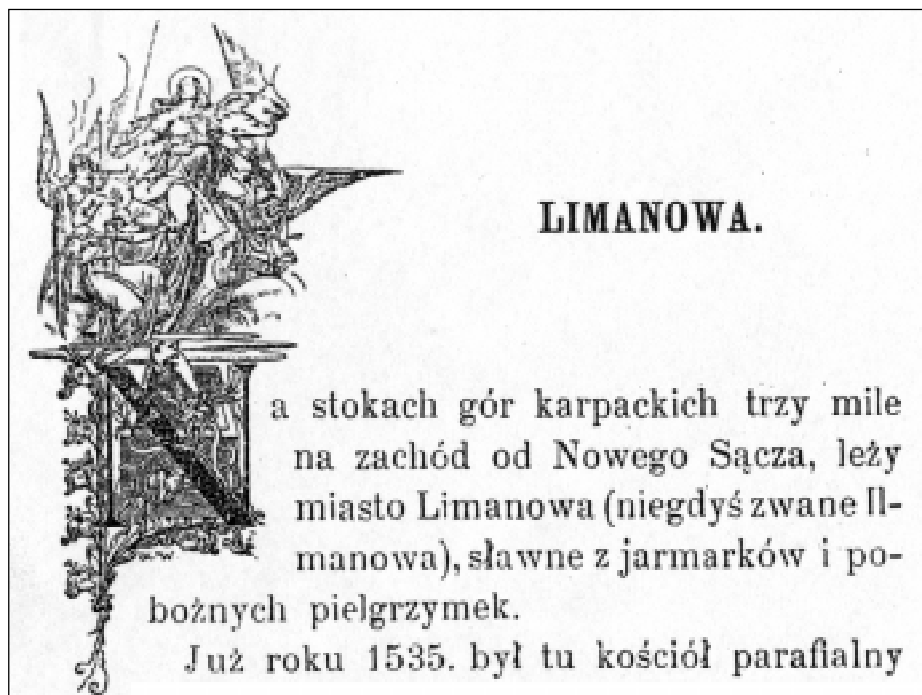
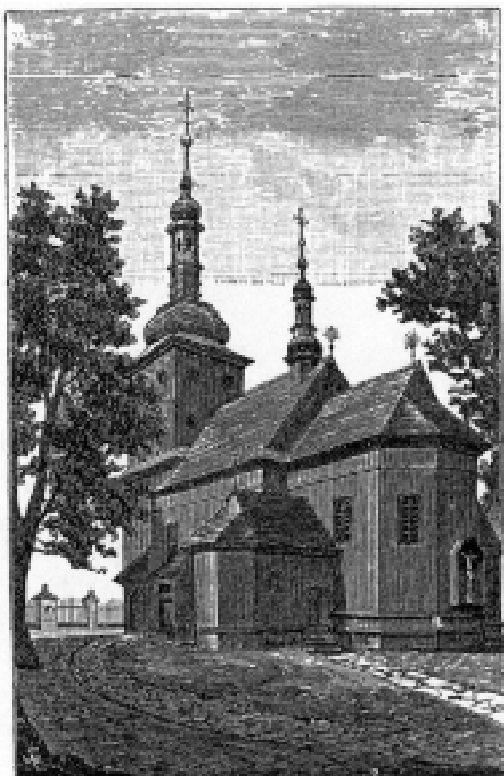
*Za pomoc w dostarczeniu materiałów serdecznie dziękuję córce Wincentego Gawrona Małgorzacie Jabłońskiej i kuzynowi Andrzejowi Gawronowi*

**Autorka  
Fotografie arch. rodziny  
Wincentego Gawrona**

# Pierwsze drukowane opisy i wizerunki limanowskiej Piety



Figura Matki Boskiej oraz drewniany kościół w Limanowej - grafiki z książki O. Alojzego Fridricha.



Fragment tekstu z książki „Historie Cudownych Obrazów Najświętszej Marii Panny w Polsce” z ozdobnym inicjałem autorstwa jezuita O. Alojzego Fridricha.

Pierwsze pisane wiadomości o limanowskiej Piety pochodzą z drugiej połowy XVII stulecia (1668 r.) i dotyczą poświęcenia drewnianej kaplicy w Mordarce, w której tą rzeźbę umieszczono, wtedy już była łaskami słynąca. Nie używano jeszcze wówczas określenia „Pieta” (z włoskiego: „miłosierdzie, litość”, z łaciny „miłosierdzie zgodne z powołaniem”), zaś patronka mordarskiej kaplicy określana została jako „Vir ginis Mater Dolorosa” („Panna – Dziewica Matka Bolesna”), Późniejsze, również rękopiśmienne dokumenty określają ją: „Przenajświętsza Matka Bolesna”, „Najświętsza Panna Bolesna”, wreszcie, od XIX stulecia „Matka Boska Limanowska”.

Najdawniejsze z tych źródeł dotyczą jak to już wspomnieliśmy – początków kaplicy mordarskiej i toczącego się później wieloletniego sporu pomiędzy proboszczami limanowskimi a dziedzicami dworu w Mordarce, zakończony w 1753 r. ostatecznym przeniesieniem łaskami słynącej figury do kościoła parafialnego w Limanowej. Akta te, jak i późniejsze, przede wszystkim protokoły wizytacji parafii lima-

nowskiej, są przechowywane w Archiwum Metropolitalnym w Krakowie, Ossolineum, później w Archiwum powstałym w 1783 r. diecezji tarnowskiej.

Te wszystkie, bardzo cenne dla udokumentowania kultu limanowskiej Piety materiały, sporządzone były na ogół w pojedynczych egzemplarzach. Dostęp do nich miały też pojedyncze osoby, w zasadzie tylko urzędowo zajmujące się tymi sprawami. Z powodu tego rozpowszechnianie ich treści miało bardzo ograniczony zasięg. Podobnie też było z dokumentami sporządzonymi przez limanowskich proboszczów. Kult i sława Matki Boskiej Limanowskiej rozpowszechniany był przede wszystkim za pomocą słowa – kazań, pieśni, ludowej opowieści. To bardzo ważne formy przekazu, łatwo wpadające w społeczne zainteresowanie, konieczne do powstania tego zjawiska, które określamy pojęciem „kultu”, ale mające bardzo ograniczony i lokalny zasięg.

Możliwość szerszego, ponad lokalnego kultu limanowskiej figury dawał dostęp do wydawnictw drukowanych, rozpowszechnianych w tysiącach nieraz na-



kładach i rozpowszechnianych na terenie całej ówczesnej Galicji, a nawet Polski. Druki takie zaczęły się ukazywać stosunkowo późno, bo dopiero w drugiej połowie XIX stulecia.

Z kronikarskiego obowiązku odnotujemy dwa pierwsze – to „Szemantym Diecezji Tarnowskiej” z 1896 r. oraz wydane we Lwowie w 1891 r. dzieło S. Barącza, noszące tytuł „Cudowne Obrazy Matki Najświętszej w Polsce”.

Ze źródłami tymi, bardzo dla nas cennymi, zapoznamy się przy innej okazji. Teraz więcej miejsca poświęcimy dwóm niejako bliźniaczym dziełom, które ukazały się w pierwszych latach XX wieku. Wywarły one niewątpliwie wpływ na rozszerzenie się kultu limanowskiej Figury. Tu wręcz jeszcze inną uwagę – był to również bardzo ciekawy dla Limanowej czas – w 1903 r. na półkach księgarskich ukazała się praca Franciszka Bujaka nosząca tytuł: „Limanowa. Miasteczko powiatowe w Zachodniej Galicji. Stan społeczny i gospodarczy” – dzieło nie tylko ważne dla dziejów miasta, ale ówczesnej gospodarki Polski.

Powróćmy jednak do tematu. Autorem pierwszego, interesującego nas dzieła był kapucyn, O. Wacław z Sulgostowa. To bardzo ciekawa, wręcz intrygująca postać, tak bardzo charakterystyczna dla drugiej połowy XIX stulecia. Poświęcimy jej zatem więcej miejsca.

Dorobek naukowy O. Wacława z Sulgostowa liczy około 100 pozycji. Są wśród nich teksty dotyczące zarówno tematyki sybirackiej, jak też związane z dziejami kościoła w Polsce. Wśród nich szczególne miejsce zajmuje wydane w 1902 r. dzieło noszące tytuł: *O cudownych obrazach w Polsce Przenajświętszej Matki Boskiej*. O. Wacław zebrał w nim i ułożył w porządku alfabetycznym 1112 opisów łaskami słynących wizerunków Matki Boskiej z całej Polski, Litwy i Ukrainy, dodając różne informacje o innych źródłach bibliograficznych i natury informacji użytecznej.

Dzieło to w 1902 r. na Międzynarodowym Kongresie Maryjnym we Fryburgu uhonorowane zostało złotym medalem. Tekst dotyczący Limanowej zajmuje całą 376. stronę po krótkiej informacji o położeniu miasta, zawiera również krótki i niezbyt precyzyjny obraz dziejów parafii limanowskiej, kościoła i kultu figury Matki Boskiej, m. in. przytacza jedną z legend związanych z kaplicą w Mordarce.

Drugie dzieło nosi tytuł: *Historie Cudownych Obrazów Najświętszej Marii*



Pożar pierwszego, drewnianego kościoła w Limanowej i uratowana figura Matki Bożej Bolesnej - obraz Czesława Lenczowskiego.

*Panny w Polsce*. Jego autorem jest również zakonnik, jezuita, O. Alojzy Fridrich (1850 – 1927). Jako współpracownik a później redaktor poczytnego wówczas czasopisma *Intencje Apostolstwa Modlitwy*, a także wędrujący po całym kraju kaznodzieja, zebrał wiele cennych materiałów, tak pisanych, jak ilustracyjnych (grafik, rysunków, fotografii), które usystematyzowane wydał w czterech tomach.

Dzieło to ukazało się w Krakowie w latach 1903 – 1911, wyróżnia się wielką starannością edytorską, pięknym niemal kaznodziejskim językiem oraz bogatym materiałem ilustracyjnym. Nic więc dziwnego, że do naszych czasów stanowi dla wielu polskich sanktuariów maryjnych podstawowe źródło do poznania swych dziejów.

Opisowi kultu limanowskiej Piety w tym dziele poświęcone jest pięć stron. Oprócz informacji ogólnych (położenie, dojazd), jezuita zapoznaje nas z dziejami parafii limanowskiej, początkami kultu Matki Boskiej Bolesnej. Dowiadujemy się kilka ciekawostek – m. in. o tym, iż cudowną Figurę zdobiły niegdyś 32 wota, że misje święte przed uroczystością przeniesienia Piety z kaplicy mordarskiej do kościoła w Limanowej przeprowadzili O. Misjonarze z krakowskiego Stradomia. Według mnie, zakonnicy ci byli z tego zgromadzenia, ale mieszkali w Laskowej, gdzie nabyli miejscowy dwór, czyniąc z niego terenową placówkę misyjną na te okolice. Dowiadujemy się też o trzech

dorocznych, limanowskich odpustach, wypadających na święto Matki Boskiej Bolesnej (piątek, przed Niedzielą Palmową, Zielone Świątki i Matki Bożej Różańcowej). Tekst ilustrują dwie ryciny – litografie przedstawiające drugi limanowski kościół parafialny i pierwszą drukowaną fotografię limanowskiej Piety. Reprodukujemy je jako ilustracje do niniejszego artykułu.

Aby zaś Czytelników „Echa” zapoznać z pięknym językiem, jakim posługuje się O. Alojzy, dosłownie przytaczamy dwa fragmenty: (s. 471, 473) (...) *Niedaleko Limanowej leży wioska Mordarka. Tam przy drodze stoi murowana kapliczka ocieniona lipami, własność dziedziców Mordarki, w której od niepamiętnych czasów znajdowała się figura Matki Bożej, z Węgier tutaj przyniesiona; a poniżej studzienka, dziś zaniedbana, do której mieszkańcy chodzili czerpać wodę.*

*Razu pewnego, gdy służąca dworska przyszła tam po wodę, pośliznęwszy się, upadła i stłukła dzbanek. Wraca więc z płaczem do dworu i mówi pani, co zaszło. Ta okrutnie ją zabiła i kazała jej przynieść dzbanek. Poszła dziewczyna i uklękłszy przed kaplicą, błagała o zmiłowanie. I oto słyszy głos z figury wychodzący: „Nie płacz, dziecko moje, pozbieraj czerepki”. Pozbierane czerepki zrosły się, co widząc jej Pani, choć luterka, zdziwiona, poczęła z większym poszanowaniem mieć kaplicę, bo dotąd kazała do niej gęsi i kaczki zapędzać. Lud zaczął się licznie gromadzić na to miejsce: „doznając opieki Najświętszej Panny w swoich smutkach i boleściach (...)”.*

(...) *W 1769 w czasie wielkiego pożaru miasta. Dziwna rzecz! W tym roku cały kościół i plebania spłonęły – a figura sama została od pożaru nietknięta: przeniesiono ją zatem na powrót do Mordarki, gdzie nabożeństwo parafialne odprawiano aż do roku 1774, w którym ołtarz wraz z figurą znów do tymczasowej kaplicy w Limanowej przeniesiono. Podobną figurę Najświętszej Panny Bolesnej, umieszczono także w przydrożnej kapliczce w Mordarce, pobożny lud jednak w cierpieniach i potrzebach swoich ucieka się raczej do Limanowej, do stóp Najśc. Panny wierząc silnie, że tam wysłuchanym będzie, lubo nikt doznanych tamże łask dotąd nie spisywał, ani ich nie spisuje (...).*

Urodził się w 1829 r. w Kuryłówce na Ukrainie. Jego prawdziwe nazwisko to Wacław Zygmunt Nowakowski, Wacław to jego imię zakonne, zaś przybrany przydomek „z Sulgostowa” nawiązuje do jego pierwszej naukowej pracy. Otóż, po ukończeniu studiów na Uniwersytecie w Kijowie, przez pewien czas był bibliotekarzem kolekcjonera staroci, pamiątek historycznych i bibliofila –



– Konstantego Świdzińskiego h. Półkozic, który w rodzinnym Sulgostowie zakładał swą galerię. Po śmierci chlebobdawcy przeniósł się do Warszawy, gdzie w 1860 r. jako nowicjusz wstąpił do zakonu kapucynów. Nowicjat przerwał, włączając się w działalność patriotyczną. Po wybuchu Powstania Styczniowego (1863 r.) widzimy go jako żołnierza w oddziale Mariana Langiewicza, później sam, w okolicach Lublina, zorganizował około dwieście osób liczący oddział powstańczy, był nawet cywilnym komendantem tego miasta. Aresztowany po upadku powstania, skazany został najpierw na karę śmierci, którą później zamieniono mu na dziesięć lat zesłania w rejon Irkucka. W 1874 r. nielegalnie, poprzez Lwów, dostaje się do Krakowa, skąd później, przez Poznań, Paryż, dociera do Rzymu. Tu, na audyencji u papieża Piusa IX, przedstawia losy polskiego duchowieństwa na Syberii.

W 1877 r. powrócił do kraju i zakonu kapucynów, dołączył do nowicjatu w Sędziszowie, później po odbyciu studiów teologicznych w Krakowie, przyjął święcenia kapłańskie z rak bp. Albina Dunajewskiego. Z Krakowem związany jest schyłek jego żywota. Nauczał religii w szkołach i domach prywatnych. Zasłynął jako znakomity kaznodzieja i spowiednik. Prowadził też ożywioną działalność społeczno – kulturalną, współpracując prawie ze wszystkimi liczącymi się wówczas czasopismami, tak galicyjskimi, jak i wychodzącymi w innych zaborach, w tym ze słynnym, krakowskim „Czasem”. Utrzymywał żywe kontakty ze wszystkimi prawie znaczącymi ludźmi epoki – m. in. ze świętym Bratem Albertem Chmielowskim, błogosławionym Rafałem Kalinowskim, poetami i pisarzami – Adamem Asnykiem, Lucjanem Rydlem, uczonymi erudytami – jakimi był Karol Estreicher.

Zmarł 9 stycznia 1903 r. w opinii świętości, dość wspomnieć, że uroczystościom pogrzebowym przewodniczył kardynał Jan Puzyna, zaś kondukt na Cmentarz Rakowicki poprowadził biskup Antoni Nowak. A nie był to przecież żaden człowiek z przysłowiowego „świecznika”, ale skromny mnich zakonny.

# Historia rodzinna

## Poszukiwania stryja



Na Pasierbcu, Grzegorz Suliński i Izabela Pietrzyk z domu Sulińska, bratankowie Wiktora Sulińskiego.

Jak opowiedzieć tę historię? Najlepiej od końca. Bo zakończenie jest szczęśliwe – po ponad 70 latach spotkało się drugie i trzecie pokolenie rodziny.

Grzegorz Suliński, syn Telesfora i Haliny Sulińskich, w dzieciństwie słyszał historię swojego stryja – Wiktora Sulińskiego, którego losy stały się nieznane od czasu zaginięcia w czasie wojny. Grzegorz, już jako dorosły człowiek, zaczął szukać swoich korzeni, chcąc odtworzyć drzewo genealogiczne rodziny. W internecie znalazł informację o Wiktorze Sulińskim aresztowanym w Pasierbcu. Niewiele mu ta nazwa miejscowości mówiła, nie widział też żadnych możliwości powiązania tego z losami krewnego z Mazowsza, choć zastanowiła go ta dość niezwykła zbieżność nazwisk. Na początku 2013 r., w związku z obchodami 150. rocznicy wybuchu powstania styczniowego, dotarł do informacji, że jego pradziad był na liście uczestników powstania. Kontynuując poszukiwania, trafił na notatkę sądu w Limanowej, według której Wiktor Suliński w 1946 r. został uznany za zaginionego. Informacja zawierała podstawowe dane: imiona rodziców i miejsce urodzenia, była też wzmianka, że ostatnim miejscem pobytu zaginionego był Pasierbiec. W ten sposób Grzegorz zyskał pewność, że wcześniejsza informacja o aresztowaniu w Pasierbcu rzeczywiście dotyczyła brata jego ojca. Wrócił zatem do wcześniejszego artykułu znalezionej w internecie. Tekst pochodził z książki „Złote ziarna” wydanej w 1997 r. przez Szkołę Podstawową w Pasierbcu. Skontaktował się zatem ze szkołą i wyprosił u pań Urszuli Nowak i Alicji Wąsowicz przesłanie kserokopii książki. Tam znalazł pełen rozdział poświęcony stryjowi napisany przez Stanisława Ptaszka. Znowu pomocny okazał się internet, bo korzystając z niego, znalazł kontakt do gawędziarza z Pasierbca. Po pierwszej serdecznej rozmowie telefonicznej razem z siostrą Izabelą przyjechał pod Limanową. Tu od Stanisława i Marii Ptaszków poznał historię swego nigdy niepoznanego i nieodnalezonego stryja.

# Sulińskich doprowadziły na Pasierbiec

Jolanta Bugajska



Zygmunt (pierwszy z lewej), najstarszy brat Wiktora Sulińskiego.

Stanisław Wiktor Suliński urodził się w Brzeszczach Dużych na Mazowszu. Pracował jako nauczyciel w województwie wileńskim, tworzył szkolne grupy teatralne, prowadził Ochotniczą Straż Pożarną. Poślubił Władysławę Kasińską, nauczycielkę pochodzącą z podlimanowskiego Młynnego. Na przełomie 1939 i 1940 r. został aresztowany przez NKWD, uciekł z transportu i wiosną dotarł do rodzinnego domu swojej żony. Ukrywał się u swego szwagra Franciszka Kasińskiego, który prowadził młyn i tartak w Młynnem. Jednak z powodu częstych niespodziewanych wizyt żandarmerii, biorąc pod uwagę bezpieczeństwo swoje i rodziny przeniósł się na Pasierbiec do Anieli i Józefa Ptaszków, rodziców Stanisława. Tam we współpracy z Franciszkiem Leszko i por. Józefem Bednarkiem prowadził punkt przerzutowy prasy konspiracyjnej Armii Krajowej. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni nocował w stodole lub na zgrupowaniach AK. Zimą spał u Ptaszków w jednej wspólnej izbie, zamieszkiwanej przez Ptaszków z synem i ukrywającą się u nich Justyną Kasińską. W sierpniu 1943 r. Niemcy przygotowali zasadzkę i pod szkołą w Pasierbcu aresztowali Wiktora Sulińskiego, Franciszka Leszkę,



Czesława Sulińska-Majewska, siostra Wiktora Sulińskiego.

a później sołtysa Antoniego Knapika. Suliński trafił do więzienia śledczego w Nowym Sączu, a stamtąd do obozu w Pustkowie koło Dębicy. Ostatni list od niego, który dotarł do Ptaszków, datowany był na 17 maja

1944. Później Suliński został przeniesiony do obozu w Boczowie (Oranienburgu). Pod koniec kwietnia 1945 r. był jeszcze widziany w momencie likwidacji obozu. Od tego momentu wszelkie wieści o nim zaginęły. Prawdopodobnie został zastrzelony przez Niemców.

Stryj Grzegorza Sulińskiego był wysportowanym blondynem, wspaniałym pedagogiem, który cenił literaturę, grę w szachy i pracę na rzecz innych. Z Władysławą miał dwie córki – Barbarę i Renatę. Obie już nie żyją, Barbara spoczywa na cmentarzu w Zakopanem, Renata w Bogatyni.

Grzegorz Suliński po wizycie na Limanowszczyźnie odwiedził grób dziadków, zauważył, że stryj Wiktor został aresztowany dokładnie w dniu pogrzebu swojej matki, o czym zapewne ten nigdy się nie dowiedział.

Wizyta pod Limanową dla Grzegorza Sulińskiego zaowocowała nie tylko poznaniem historii stryja, zawiązaniem przyjaźni ze Stanisławem Ptaszkim, u którego rodziców ukrywał się Wiktor, ale też kolejnym rodzinnym odkryciem. Grzegorz poznał Zygmunta Kłosowskiego, znanego w regionie malarza mieszkającego w Męcinie, dla którego Grzegorz jest wujem. Historia ma więc i takie szczęśliwe zakończenie, oto rodzina spotkała się w drugim i trzecim pokoleniu.

Ale może to jeszcze nie koniec? Może dalsze poszukiwania dadzą odpowiedź na pytanie, co stało się z Wiktorem Sulińskim, gdzie i kiedy zginął? Może życie i ludzka pamięć dopiszą jeszcze ciąg dalszy tej historii?



W pracowni Zygmunta Kłosowskiego (pierwszy z lewej), wnuka Wiktora Sulińskiego (po kądzieli), dalej Grzegorz Suliński i Izabela Pietrzyk z domu Sulińska oraz Maria Ptaszek.

# Ulica Zygmunta Augusta

Stosunkowo krótka (1,2 km), ale bardzo ładna ulica w południowej części Limanowej. Według informacji bardzo uprzejmej pani z Biura Meldunkowego, mieszka przy niej 1530 mieszkańców – czyli co dziesiąty obywatel Limanowej. To zasługa największego skupiska bloków w naszym mieście. Przy ulicy tej znajdują się ponadto ważne „obiekty użyteczności publicznej” – kryta pływalnia, nowa remiza OSP, zajezdnia autobusów i baza byłego PKS, dziś własność Przedsiębiorstwa Komunikacji Samochodowej, Pasyk&Gawron, hala i hotel sportowy, kompleks budynków szkolnych – niegdyś siedziba chluby Limanowej – Zespołu Szkół Mechaniczno – Elektrycznych, dzisiaj szkoły o profilu ogólnokształcącym. Szczególną ruchliwość zarówno pieszych jak i zmotoryzowanych obserwujemy w rejonie dużych obiektów handlowych usytuowanych u wylotu ulicy Żwirki i Wigury.

Trudno więc sobie wyobrazić, że jeszcze pół wieku temu były tu przysłowiowe puste pola, mówiło się wtedy pola Marsa. Istniał tylko kilkumetrowy odcinek dzisiejszej ulicy Zygmunta Augusta, który stanowił początek drogi wiejskiej prowadzącej przez Starą Wieś Wołę do Siekierczyny i Roztoki. Mniej więcej w tym miejscu gdzie dzisiaj odchodzi w górę ulica Żwirki i Wigury, znajdowała się tylko duża powierzchniuowo „dachówczarnia” należąca do Spółdzielni „Rozwój” (niektórzy złośliwie nazywali ją „Rozbój”), w której, oprócz dachówki, produkowane były betonowe kręgi wykorzystywane do budowy przepustów drogo-

wych i studzien. W 1964 r. już po likwidacji owego zakładu w opuszczonym baraku, nasz szkolny kolega Zbyszek Piotrowski, wraz ze swym ojcem – Kazimierzem, zbudowali prawdziwy samolot. Było to wydarzenie, które trafiło na łamy, zwłaszcza młodzieżowej prasy całej Polski. Co więcej – Zbyszek, jako chyba pierwszy limanowianin, był bohaterem specjalnego programu telewizyjnego. A zważywszy, iż było to pół wieku temu, kiedy telewizja była jeszcze w przysłowiowych powijakach.

Dobrze pamiętam początki tej ulicy, bowiem jej budowę rozpoczął ojciec – Józef Wielek, który wtedy pracował jako miejski drogomistrz. Początkowo nosiła ona nazwę ulicy „Obwodowej” – istotnie była wtedy południową „obwodnicą” miasta, przenoszącą ruch kołowy z drogi Limanova – Nowy Sącz, na szosę prowadzącą w kierunku Kamienicy i Szczawy. Poza pierwszymi blokami, które dzisiaj noszą numery 1, 2 i 3, zaczęto wznosić wspomniane już wyżej budynki „zawodówki”, zaś u wylotu ulicy Żwirki i Wigury, będąca w pełnym rozkwicie, Miejska Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu wznosiła nowoczesny, jak na ówczesne czasy, pawilon handlowy znany pod ogólną nazwą „Bogusia”, a składający się z trzech sklepów (spożywczy, mięsny i owocarski), baru kawiarenki, punktów usługowych. Tu z kronikarskiego obowiązku wspomnieć muszę o ostatnim w tym rejonie warsztacie szewskim, który prowadził bardzo solidny mistrz szewski o nazwisku Świdorski. A wszystko to nocą

rozświetlane było kolorowymi neonami i mieszkańcom miasteczka dawało satysfakcję i poczucie dumy z obrazu wielkomiejskiego charakteru Limanowej.

Zostawmy jednak nasze czasy i przenieśmy się w daleką przeszłość.

Zygmunt II August, król polski, wielki książę litewski, a także ziemi krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, ruskiej, pruskiej, chełmińskiej, elbląskiej, mazowieckiej i pomorskiej pan i dziedzic... - to tylko najważniejsze tytuły, jakie oficjalnie nosił patron naszej ulicy. Syn Zygmunta Starożytnego i królowej Bony, koronowany na króla jeszcze za życia ojca (1530 r.), samodzielnie rządził Polską od chwili jego śmierci (1548 r.) przez okres 24 lat. Były to bezsprzecznie czasy największego rozkwitu i potęgi Rzeczypospolitej. Do najważniejszych jego dokonań politycznych należy podporządkowanie Inflant (co później przysporzyło nam wiele kłopotów i wojen) oraz doprowadzenie do uchwalenia Unii Lubelskiej (1569 r.). Wielki miłośnik sztuki, muzyki, poezji, jemu m. in. zawdzięczamy kolekcję słynnych arrasów wawelskich oraz początki polskiej poczty. Trzykrotnie żonaty, nie dochował się jednak potomka, co skutkowało, iż był ostatnim z Jagiellonów na polskim tronie i królem dziedzicznym; po nim nastaje w Polsce era panowania monarchów elekcyjnych. Zmarł w 1572 r. w Knyszynie i pochowany został w ufundowanej przez ojca Kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu, która stała się nekropolią ostatnich polskich Jagiellonów.



Popularny pawilon „Bogusia”.



Budowa bloków przy ul. Zygmunta Augusta.

Przyczyną, że miasto Limanowa imieniem tego króla nazwało jedną z najważniejszych ulic był fakt, iż to on, formalnie zgodził się na założenie tu miasta. Odpowiedni dokument wydany został 12 kwietnia 1565 r., a stało się to podczas trwania obrad wielkiego Sejmu w Piotrkowie Trybunalskim.

Niech nas nie dziwi miejsce wydania aktu lokacyjnego miasta Ilmanowa – taką nazwę nosiła wtedy bowiem ta miejscowość. Piotrków w tym okresie to miejsce, w którym w owych czasach, bardzo często obradowały polskie sejmy. A gdzie sejm, tam musiał być król, za królem zaś zawsze podążała kancelaria koronna, zawsze gotowa do sporządzenia wszelkich aktów prawnych. Być może posłem na ten sejm był ówczesny właściciel Limanowej i sąsiednich wsi – Jabłońca, Lipowego, Mordarki i Sowlin – Stanisław Jordan herbu „Trąby” i skorzystał z możliwości łatwiejszego dostępu do królewskiej kancelarii?

Najważniejsze postanowienie przywileju lokacyjnego króla Zygmunta Augusta z 1565 r., w tłumaczeniu na współczesny język polski przedstawia się następująco: *Monarcha zezwala Stanisławowi Jordanowi na podniesienie części dziedzicznej wsi o nazwie Ilmanowa do rzędu miast, zachowując tą samą nazwę. Ustrój wewnętrzny miasta miał być zorganizowany według modnego wówczas prawa magdeburskiego. Władzę w mieście miał sprawować wójt, odpowiedzialny za swe czyny wyłącznie przed właścicielem miasteczka. Jemu też powierzona została władza sądownicza i to nawet w sprawach kryminalnych. Przywilej ustanawiał również dwa doroczne jarmarki trwające przez tydzień i za-*

*czynające się w święto Marii Magdaleny (22 lipca) i święto Mikołaja (6 grudnia), oraz targi co sobotę. Król uwalniał nowo lokowane miasteczko na 30 lat od wszelkich opłat i podatków, składanych zarówno do skarbcza koronnego, jak i państwowego, co miało skłonić ludzi do szybszego decydowania się na przyjęcie obywatelstwa limanowskiego.*

*Najstarsza księga miasta zaczyna się od słów: „Anno Domini 1565. Miasteczka nowo założonego rzeczono-go Ilmanów rejestr przyjmowania i wpi-sywania ludzi ku prawu miejskiemu i posłuszeństwa Imci Pana Stanisława Jordana i potomków Jego” wylizczała pierwszych dziesięciu mieszczan limanowskich, którzy „przyjęli prawo miejskie” w roku nadania aktu lokacyjnego. Byli to: Jan Wierzbięta, Ambroży z Tymbarku, Stanisław Chryst z Sowlin, Marcin – krawiec z sąsiedniej Pisar-zowej, Grzegorz z Jabłońca, Stanisław Kłoszarz z Tymbarku, Wojciech z Sowlin, Szymon z Sędziszowa, Marcin z Siewierza, Maciej Gloth, z bylej wsi Ilmanowa. Ową księgę – szacowny zabytek z dziejów miasta oglądał jeszcze pod koniec XIX wieku Franciszek Bujak, później jednak zaginęła.*

*Nowo przyjęci mieszczanie mieli składać przysięgę na „przestrzeganie prawa magdeburskiego” oraz „opłacać pamiętne prawu” – czyli uiszczać specjalną opłatę do urzędu miejskiego. Zwyczaj ten dochował się do wieku XIX i jeszcze w 1819 roku w ten sposób przyjmowano do miasteczka nowych obywateli. Dokument z 1565 r. właściwie legalizował istniejącą już wtedy sytuację. Pod-*

*waliny pod powstanie tu miasta istniały już wcześniej. Przypomnijmy, iż Ilmanowa była centrum rozległej parafii, obejmującej swym zasięgiem wsie: Mordarkę, Jabłońiec, Lipowe, Sowliny. Istniały też zgodnie z prawem magdeburskim władze samorządowe wyposażone w prawa sądownicze. Pisaliśmy o tym w poprzednim numerze „Echa”, przedstawiając postać Achacego Jordana.*

*I jeszcze jeden aspekt natury gospodarczej: przebiegał tędy drugorzędny, ale licznie uczęszczany szlak handlowy z Węgier do Krakowa. Właściwy, główny szlak biegł dolinami Dunajca i Popradu do Nowego Sącza – królewskiego uprzywilejowanego miasta, korzystającego między innymi z tak zwanego prawa składu. Kupcy jadący tędy musieli oclić przewożone towary. By uniknąć tego, kierowano się przez Stary Sącz w dolinę rzeki Słomki i przez Naszacowice, Przyszową w okolice Ilmanowej. Miejscowość ta zaczęła na tym dzikim szlaku pełnić rolę stacji popasowej, rywalizując z niedalekim Tymbar-kiem. O znaczeniu i istnieniu tego szlaku mówią liczne dokumenty między innymi w 1551 roku kasztelan sądecki Wawrzyniec Spytek Jordan wydał zarządzenie ogłoszone w Łączku, Barcicach i Ilmanowej, zakazujące omijanie komory celnej w Nowym Sączu pod karą utraty towarów.*

Wróćmy na chwilę do aktu lokacyjnego miasta. Brak na nim własnoręcznego podpisu króla. Dokument legitymizowała pieczęć królewska i podpis kanclerza królestwa Polskiego – Walentego Dembińskiego z Dembian.

Stanisław Jordan herbu „Trąby”, właściciel Ilmanowej, Sieprawia, Drogini, Batowic, pozostawił czterech synów: Adama, Piotra, Kaspra i Zbożnego – ten ostatni występuje później jako właściciel Mordarki (1581 r.).

Stanisław Jordan pochowany został w pierwszym kościele limanowskim. Jego grób zniszczył zapewne wielki pożar miasta, który strawił również pierwszą limanowską świątynię (1769 r.). Zbliża się 450 rocznica lokacji miasta Limanowej. Może więc miasto ufunduje pamiątkową tablicę z napisem upamiętniającym swego założyciela i umieści to symboliczne epitafium w obecnym, trzecim już z kolei kościele limanowskim?

**Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”**



Budowa Technikum Mechanicznego.





# Rafineria w Sowlinach Inaczej – cz.1

Marek Pankiewicz

**Ktoś spyta, a czemuż inaczej? Otóż dlatego, że dzieje rafinerii i Sowlin opisano już wielokrotnie, ale tym razem obraz początku jej upadku przedstawię w inny sposób, czyli oczyma dziecka – syna wieloletniego pracownika tejże fabryki.**

Jakimi szlakami, mój ojciec, wojenny rozbitek, Franciszek Pankiewicz trafił do rafinerii w Sowlinach opisał Stanisław Ociepka („EL” nr 202-203, 2011 r.).

Ja urodziłem się już po wojnie, tak że z pochodzenia jestem kresowiakiem pełnej krwi (ojciec z Łwowa, matka wilniuczka), ale z urodzenia to jestem rodowitym Sowliniakiem, gdyż przyszedłem na świat w 1949 r. w tutejszym kasynie, stąd też matka twierdziła niekiedy, iż to właśnie z tego powodu prowadziłem w późniejszych latach, ostrożnie mówiąc z lekka, „hulaszczy tryb życia”. A poważnie mówiąc, to urodziłem się w byłym kasynie urzędniczym Rafinerii Nafty w Sowlinach, gdzie 1 sierpnia 1947 roku uruchomiono Pogotowie Chirurgiczne – Położnicze, którym kierował dr med. Mieczysław Mycoń. Był on pierwszym dyrektorem owej placówki medycznej przekształconej następnie na Szpital Powiatowy (dziś Dom Pomocy Społecznej).

W pierwszych powojennych latach Rafineria w Sowlinach nazywała się jeszcze „Rafinerią”, do której to 12 stycznia 1946 r. przygarnął mego ojca inż. Józef Florian, pełniący ówczesnie funkcję dyrektora.

W olbrzymiej sali balowej wspomnianego kasyna odbyła się ostatnia huczna zabawa karnawałowa 15 lutego 1947 r., podczas której przygrywała do tańca „Orkiestra: nieuków prof. Władysława Sułkowskiego” (cytat z oryginalnego zaproszenia), ojca - goszczącego wielokrotnie na łamach „EL” – Zbyszka Sułkowskiego.

I takim oto głośnym akcentem zakończyło swą wieloletnią działalność Rafinerijne Kasyno, w którym w latach świetności goszczono również występy artystyczne, m. in. słynny koncert światowej sławy pianisty Ignacego Paderewskiego (inf. „GL” nr 9/97 z 1993 r.), z którego dochód przeznaczono na wzbogacenie wnętrza limanowskiego kościoła.

Po zlikwidowaniu kasyna urzędniczego, jego funkcję przejęła pofrancuska świetlica w centrum „Kolonii” robotniczej. Okrójoną prawie o połowę przez założenie w jej byłej „orkiestrowej części” pospolitej piekarni. Z czasów świetności, po przedwojennym kasynie, uchował się jakimś cudem jedynie siedmiostopowy, klasyczny stół bilardowy (taki bez otworów przy bandach zwanych luzami). Przyglądałem się jak star-



Autor wspomnień

szy brat Leszek rozgrywał tam ze swymi kolegami trzy bilowe karambole lub pogrywał w brydża.

Po latach z przykrością skonstatowałem, że dzień moich szczęśliwych narodzin w tym historycznym obiekcie łączył się tragicznie z upadkiem Rafinerii. Wyszadzone w powietrze dwa z trzech górujących nad Sowlinami kominów, dumną nazwę Rafinerii zamieniono na CPN z kolejnymi, zmieniającymi się z czasem przydomkami. CPN – Baza Zaopatrzenia Lądowego – Limanowa, CPN – Skład Centralny – Limanowa, CPN- Skład Dystrybucji Nr 8 w Limanowej, CPN – Baza w Limanowej, pod koniec dodano na chwilę nazwę macierzystej dzielnicy CPN – Zakład Gospodarki Produktami Naftowymi w Limanowej – Sowlinach. Swoją stuletnią działalność Rafineria w Sowlinach zakończyła jako orlenowski „Limol”.



jest dokument poświadczający, że Sowliny połączono z Limanową w 1933 r. Ale na jednej z fotografii wielkiej powodzi 1934 r., za zrujnowanym mostem przez potok Mordarka, obok również zrujnowanego budynku przyszłej poczty Limanowa, jako żywo wbrew tytułowemu „Obliczom tragedii” kluje w oczy stojąca przy drodze tablica z dumnym napisem SOWLINY (str. 251 „Okruchy pamięci” z 2009 r.). Wynika stąd, że nie tylko Rafinerię, ale i Stację Kolejową Limanowa wybudowano o dziwo w Sowlinach!

Lecz to jeszcze nie koniec. Wszystkim dzieciom urodzonym w limanowskim poniekąd szpitalu od 1947 r. i w kilku latach następnych wpisywano w metrykach miejsce urodzenia – Sowliny. Pytałem kolegów z mego rocznika. Wszyscy mają ten zapis poza nielicznymi, których poród odbierały domowe akuszerki. Można sprawdzić w archiwum USC.

To moja mała dygresja, sowlińskiego patrioty, bez większego znaczenia, zaznaczona li tylko gwoli sprowokowania tematu. Może ktoś go podejmie i wyjaśni jak to było z granicami Limanowej od czasów nadania jej praw miejskich?

Tak więc od urodzenia, dzieciństwo, młodość i dorosłe życie spędziłem w cieniu ostatniego komina Rafinerii w Sowlinach. To on określał naszą sowlińską tożsamość, widoczny z każdego zakątka osiedla i z otaczających je górtek, a charakterystyczny, chrapliwy odgłos rafineryjnej syreny rozlegał się daleko poza widoczny z centrum Sowlin widnokrąg.

Mieszkałem w rafineryjnej willi tej najbliższej rzeki. Środkową część zajmował dr Edward Merkowski, lekarz kolejowy od Chabówki aż po Męcinę, a przy okazji rów-

nież jak wynika z zachowanej legitymacji ubezpieczeniowej ojca nasz lekarz domowy (o dziwo byli jeszcze tacy lekarze „przytek” II RP). Po lewej stronie mieszkał ks. Władysław Ryś, założyciel sowlińskiej świątyni – kaplicy w parafialnym ponieścieckim baraku, a po nim kolejno ks. Władysław Ślęk i ks. Jan Bukowiec. W tej samej klatce zamieszkał rafineryjny fachowiec inż. Podstawski. Prawą stronę, na dole, zamieszkiwała moja rodzina, a nad nami kolejny rafineryjny nafto fachowiec inż. Kubicki, który odremontował jeszcze francuską willową kotłownię, tak że moje dzieciństwo upłynęło dosłownie w ciepłej atmosferze.

Tylko matce nie za bardzo to mieszkanie odpowiadało, a szczególnie panorama Rafinerii nachalnie atakująca swym widokiem przez okna kuchni i drugiego pokoju sypialnego. Wychowaną w krajobrazie podwileńskiego, co prawda mizernego i podupadłego już dworku, drażnił ten przemysłowy krajobraz. „Te cholerne baniaki”, mruzczała pod nosem, oczekując bezskutecznie z odgrzewanym po wielokroć obiadem na wiecznie zapracowanego męża.

Willę otaczał jeszcze nie zdewastowany park w centrum, w którego dalszym ciągu przez kilkanaście lat uprawiano wielki okrągły kwietny klomb, ale tylko do czasu, kiedy w scenerii tego pięknego parku odbywały się skromne przyjęcia dzieci po pierwszej komunii świętej. Ta sielanka nie trwała długo. Po decyzji zaniechania odbudowy Rafinerii, wyprowadzili się nafto fachowcy, zmarł dr Merkowski, a willa przeszła pod administrację „Łososińskiej Bednarni”. Obdarła jej ściany ozdobione dzikim winem i zamalowano, mieniające się w

Mimo ciągłych zmian tożsamości, wszyscy Sowliniacy, począwszy od starych, zasłużonych nafcjarzy pamiętających jeszcze austriackie czasy, poprzez już CPN – nowskich pracowników, skończywszy na nas „Dzieciach Sowlin”, nazywaliśmy ten historyczny już zakład pracy Rafinerią. Osobiście, po latach, obdarzam jej pamięć wielką estymą, „jak kogoś bliskiego”. Pozwoliła wszak przetrwać całej naszej rodzinie po utracie dorobku wielu pokoleń przodków na Kresach II Rzeczypospolitej Polskiej. Zapewniła też możliwość zdobycia wykształcenia mnie i starszemu bratu Leszkowi. Tak więc pozwoliłem sobie w dalszych wspominkach i dygresjach zawsze pisać jej imię, w każdym przypadku z dużej litery – Rafineria.

Z nazwą Sowliny jako odrębną jednostką administracyjną też jest pewien problem. W „EL” nr 163 z 2008r. cytowany



Po lewej stronie tablica z napisem Sowliny. Tu kończyła się kiedyś granica Limanowej.



„Te cholerne baniaki” - jak nazywała je matka autora.



Widok na willę od strony parku. Irena Pankiewicz (pierwsza z lewej), stoi Leszek Pankiewicz, starszy brat Marka.



W parku przed willą przyjęcie komunijne - początek lat 50-tych XX wieku.

► słońcu kryształami miki białe tynki jeszcze po Francuzach. Niektórzy nowi lokatorzy zasiedlili nawet sutereny i poddasza, otrzymywali deputaty opałowe (trot do trociaków), więc zlikwidowano drogie, bo opalane koksem centralne ogrzewanie. Pamiętam, jak po latach wycinano zbędne już co prawda nasze kaloryfery na potrzeby nowego skrzydła szpitalnego po drugiej stronie ulicy.

A ja powoli dorastałem. Sowlińska młodzież nie zbierała się jak przed wojną na placu przed „Kolonią”, jak nazywano to robotnicze osiedle, gdyż jej część zajęło „Limanowskie Centrum Naukowe” Liceum, internat Liceum Pedagogicznego, boisko szkolne, a resztę przeznaczono na grządki uprawne. Miejscem spotkań sowlińskiej młodzieży zostały „Rurki”. Tak nazywaliśmy ogrodzenie stacji benzynowej na „Krzyżowej”.

Stację benzynową, a ściślej, przedwojenną, zabytkową ręczną pompę obsługiwał szanowany przez nas „pompiarz” Skrzekut. Zatańkować można było najmniej 5 litrów etyliny wyłącznie jednego gatunku, a więcej tylko jej wielokrotność, gdyż na takie dawki pozwalała konstrukcja tego muzealnego dystrybutora, którego głównym mechanizmem była „wajcha” od ręcznej pompy, nad którą to zainstalowane były dwa szklane baniaki akurat o pojemności 5 litrów każdy. Podczas mozolnego, ręcznego pompowania jeden zbiornik powoli opróżniał się do tankowanego pojazdu, a drugi w tym samym tempie napelniał do pełnego stanu 5 litrów z podziemnego zbiornika, który to uzupełniano od czasu do czasu w miarę potrzeb z zasobów sowlińskiej Rafinerii, cysterną o napędzie konnym, jak wspomina Zbyszek Sułkowski („EL” nr 163 z 2008 r.). To była mozolna i bardzo czasochłonna praca. Ale o dziwo, bardzo rzadko ustawały się przed tym dystrybutorem kolejki,

co wynikało ze znikomego wówczas zmotoryzowania kraju, a dzielny Skrzekut większość czasu spędzał w swojej budce pod wiekową, olbrzymią, nieistniejącą topolą, oczekując na kolejnych klientów. Dotrwał przy tej pompie paliw do jej technologicznego końca, coraz starszy, potrząsający bezwiednie głową z powodu, jak się domyślaliśmy choroby. Nas jednak szczególnie interesowały podjeżdżające z rzadka „egzotyczne” wówczas i ciekawe marki samochodów.

Drugą zaletą posiadania na „Rurkach” był stojący obok „Kiosk Ruchu”, gdzie u „Ciotki Jeżowej” można było nabyć na sztuki po 15 groszy papierosy „Sporty”. Tak nam upływało sowlińskie życie towarzyskie. Tam umawialiśmy się na wycieczki w pobliskie góry, na organizowanie ogniska, na wyprawy nad rzekę, by zażyć kąpieli, czy też (wstyd się teraz przyznać) na kłusowanie ryb metodą „na rękę”, pstrągów, jelców, brzanek, a nawet raków, których w tamtych czasach było w naszej, górskiej i czystej rzece zatrzęsienie. Tam najczęściej spędzaliśmy beztroskie chwile. Nad Sowlinką, rzeką której już nie ma. Nad rzeką, o którą dbali nawet Francuzi w obcym dla nich kraju jeszcze przed I wojną światową. Na znacznym odcinku uregulowali i zabezpieczyli prawy brzeg przy okazji budowy jazu, celem ujęcia wody na potrzeby przemysłowe Rafinerii. Ale dbali zarazem o zachowanie czystości tej rzeki w czasach, gdy nie istniały jeszcze żadne Urzędy Ochrony Środowiska. Wykonali na terenie Rafinerii szereg wielokomorowych łapaczek olejów i smarów, które konserwowane działały w miarę sprawnie aż do lat osiemdziesiątych minionego wieku.

Kończąc tę dygresję, wracam na teren Rafinerii.

Dorastając, często odwiedzałem ojca w pracy. Urzędował w oddzielnym biurze

po prawej stronie bramy wjazdowej, której wejścia za moich szczenięcych lat pilnowała uzbrojona w karabiny straż przemysłowa. W pogodne dni strażnicy przesiadywali na ławce przed wejściem do zakładu. Z tamtych czasów utkwiała mi w pamięci jedna scena, kiedy to znudzeni strażnicy strzelali do ptaków (chyba kawek) przesiadujących na drzewach obok sowlińskiej kaplicy. Czasami patrolowali teren Rafinerii od strony ogrodów działkowych zwanych wówczas „grządkami” i dalej, wzdłuż rzeki Sowlinki, idąc ścieżką ogrodzoną zasiekami z podwójnych drutów kolczastych. Na szczęście zlikwidowano tę dziwną formację zbrojną w połowie lat 50. Zostali w zamian nieliczni portierzy do otwierania bramy wjazdowej i kontroli wchodzących na teren zakładu obcych osób. A patrole zlikwidowanych uzbrojonych strażników za kolczastymi, prawdopodobnie ponemieckimi zasiekami zastąpiły od tego czasu wypasane tam kozy rodziny Wajdów z ulicy Fabrycznej.

Osobiście, nie miałem nigdy problemów z wejściem do Ojca. Traktowano mnie ulgowo jako synka „kierownika”, bo tak go z szacunkiem tytułowano, mimo że nigdy tego stanowiska nie osiągnął. Był tylko takim wiecznym zastępcą. Doskonale pamiętam jego bardzo skromnie urządzone, nigdy nie przemeblowane biuro. Ale szczególnie utkwiała w mej pamięci wisząca na ścianie wielka fotografia panoramy Rafinerii z trzema kominami. Jak wspominał, odnalazł ją przypadkowo wśród jakichś szpargałów, papierów i śmieci. Starannie odkurzył i odczyścił, osobiście oprawił i powiesił na honorowym miejscu swego „gabinetu”. Z dumą pokazywał ową fotografię odwiedzającym go gościom, szczególnie z krakowskiej dyrekcji CPN.

Widziałem później tę fotografię w gabinecie jego następcy za czasów LIMOL-u.



Przed bramą wjazdową do CPN byłej Rafinerii, Franciszek Pankiewicz stoi trzeci od lewej.



„Krzyżowa” - teren byłej porafineryjnej stacji paliw.

Później po latach ze zdumieniem odkryłem ten sam wizerunek w I tomie albumu „Okruców pamięci – Limanowa na stariej fotografii”.

Kończąc to przydługawe wprowadzenie, przedstawię kilka ciekawych obrazków „Rafinerii w Sowlinach – inaczej”, czyli widzianych oczyma dziecka.

## Podróże bryczką

W czasach, które wspominam nie było jeszcze miejskiej komunikacji Sowliny – Limanowa – Soliny. Dwa lub trzy razy na dobę przejeżdżał „Star” lub „Ikarus” krakowski autobus.

Nawet Rafineria w Sowlinach nie dysponowała własnym samochodem osobowym do użytku służbowego. Posiłkowano się głównie jakby to ładnie nazwać – trakcją konną. Jeszcze po Francuzach zostały na zapleczu osiedla pracowniczego zwanego zawsze „Kolonią” obiekty wozowni i stajni (istnieją do czasów obecnych).

Wozownia dysponowała taborem towarowym, cysterną na oponach i bryczką, która służyła głównie podeszłemu wiekiem inż. Józefowi Florianowi. Codziennie był on przywożony z willi zakładowej, w której mieszkał do Rafinerii, bowiem w wieku emerytalnym kierował jeszcze zakładowym laboratorium.

Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku wprowadzono obowiązkowe szczepienia wszystkich dzieci. Ale jak tu małe pętaki gonić 6 kilometrów do Limanowej i w kierunku powrotnym. Punkt szczepień zorganizowany był w nowo powstałej przychodni lekarskiej przy ulicy Szwedzkiej. Aby ulżyć działwie pracowników Rafinerii, ktoś wpadł na pomysł zorganizowania dla nich transportu zakładową bryczką. Wbrew pozorom nie było tego „towaru” zbyt wiele, gdyż tym szczepieniom podlegały tylko kolejne roczniki.

Ustalonego dnia zebrano więc nas na punkt zorganizowany pod rafineryjną bramą, za lejcami zasiadał woźnica, ład-

niej nazwać go stangretem o nazwisku Tała. Imion koni nie pamiętam. Obok stangreta zasiadał opiekun, jak podejrzewam zapewne związkowy, zakładowy działacz. Nas upchano jak śledzie w beczce na tyłach bryczki i wio!!! do Limanowej. Dziewczynki trochę płakały ze strachu, ale my chłopcy dzielnie ukrywaliśmy niepokój, oddając się podziwianiu mijanych krajobrazów tej fascynującej dalekiej podróży. Wreszcie finał, wystrojona na biało siostra zaaplikowała każdemu co mu się należy i zapakowano na powrót do bryki. I tu zaskoczenie. Stangret Tała z fasonem okrążył z nami rynek. Pamiętam, że największe wrażenie zrobił na mnie limanowski olbrzymi kościół. Droga powrotna upłynęła już wszystkim w radosnym nastroju, a w Sowlinach, przed Rafinerią czekały już na nas zatroskane matki. Na te szczepienia pojechałem w kolejnych latach chyba ze 2 razy, ale największe wrażenie zrobiła na mnie ta pierwsza, niezapomniana podróż bryczką. Na co nas tam szczepili nie ma już dzisiaj najmniejszego pojęcia. Następne szczepienia organizowano już, gdy podrośliśmy, w szkole. Ale tej frajdy, którą przeżyłem dzięki Rafinerii, jaką fundnęła nam pierwszą w życiu podróż bryczką, nigdy nie zapomnę.

W latach szkolnych pojechałem jeszcze raz tą bryczką gdy ojciec załatwił coś na stacji kolejowej- chyba jak pamiętam wyklócał się o terminy dostaw wahadeł cystern i jakieś „osiowe”, ale już byłem подростkiem i ta podróż nie zrobiła na mnie większego wrażenia.


### Fotografie: arch. albumu „Okrucy pamięci”

Dalsze ciekawe obrazki z Rafinerii w Sowlinach – inaczej, czyli widziane oczyma dziecka w kolejnym numerze „Echa”.



Część osiedla robotniczego Rafinerii „Kolonія” w Sowlinach. Po lewej świetlica na tle jeszcze stojących trzech kominów Rafinerii, po prawej jeden z budynków mieszkalnych - 1947 rok.





*Serdeczne życzenia zdrowia, pogody ducha,  
spełnienia wszystkich marzeń oraz wielu  
sukcesów, satysfakcji z mądrych decyzji  
i pomyślności w nadchodzącym 2014 roku.*

*Składa Zarząd oraz Pracownicy Banku  
Spółdzielczego w Limanowej.*



**BANK SPÓŁDZIELCZY  
W LIMANOWEJ**



GRUPA  
**psb**

# Centrum Budowlane

## IMPULS®

ul. Piłsudskiego 14c, 34-600 Limanowa  
tel. 18 337-41-27, fax: 18 337-53-32

Oddział Pisarzowa  
tel. 18 332-82-75

Oddział Laskowa  
tel. 18 333-30-43  
Oddział Ujanowice  
tel. 18 333-40-03

Skład Opalu:  
Limanowa, ul. Kolejowa  
tel. 18 337-15-04  
Stadnina Koni  
Limanowa, ul. Leśna 52  
tel. 608-615-726

[www.impuls-psb.pl](http://www.impuls-psb.pl)

**Izolacja**  
dla lepszego jutra

  
**URSA**  
uralita



**ŚWIETNA OKAZJA**

**WEŁNA URSA DF 39**

już od **8200\***  
zł brutto  
/rolka



\*cena uzależniona od grubości wełny